Nr. 26. Lwów, Niedziela dnia 4. Marca 1877 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcja:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracja:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

POLSKIE STOWARZYSZENIE IZRAELITÓW.

Do najtrudniejszych i najprzykrzejszych zarazem kwestyj dla publicysty polaka należy tak zwane sprawa żydowska. W ostatnich czasach znowu wiele o niej pisano, a jeżeli i teraz jak zwykle, piszącemi powodowało często uprzedzenie lub niechęć, zarówno z jednej strony jak z drugiej, to jednak trzeba przyznać, że znalazły się i głosy wytrawniejsze a przytem nacechowane szczerą i umiarkowaną tendencją. Do takich zaliczamy wystąpienie p. Jana Jeleńskiego w cennej rozprawie p. t. „Żydzi Niemcy i My.“

Wyliczywszy różne środki zaradcze przeciwko wstrętnemu separatyzmowi żydów i zgubnym jego skutkom dla kraju, autor bardzo słusznie dodaje: „Wszystkie środki oddziaływania nierównie szybciej przychodziłyby do skutku, gdyby owe, oddawna proponowane „Towarzystwa izraelickie mające na celu szerzenie oświaty między żydami,“ mogły ze sfery projektów przejść życie“ — i dalej obolewa nad tem, że nikt nie chce zabrać się w tym celu do czynu, chociaż niejeden potrzebę takich stowarzyszeń uznaje. Autor nie wspomina, ale łatwo się domyśleć, iż chodziło mu przedewszystkiem o takie kółka w łonie polskich izraelitów powstać mające, któreby z całą swobodą mogły pracować nad oświatą ciemnych mas i nad zbliżeniem warstw społecznych pod jednym sztandarem narodowym; że chodziło mu o tych, którzy mimo różnicy wiary, zechcą słowem i czynem uważać się za synów jednej ziemi, ażeby własną pracą zdobyć krajowi całe szeregi prawdziwych obywateli, dotychczas w ciemnocie i fanatyzmie pogrążonych. Taka zaś propaganda, prawie niemożliwa w Kongresówce, w Galicji natomiast ma wszelkie widoki powodzenia, jeśli tylko zabiorą się do niej ludzie dzielni, zacni i wpływowi, a obok tego wytrwali. Z przyjemnością też donosimy czytelnikom naszym, że pracę taką już rozpoczęto i jeśli się nie mylimy, rozpoczęto pod dobrą wróżbą.

Dnia 25go b. m. zawiązało się we Lwowie Stowarzyszenie izraelitów w duchu polskim a postępowym, do którego zarządu weszli pp.: dr. Berliner, dr. Blumenfeld, dr. Goldman, dr. Filip Zuker, Horowitz i Landau. Stowarzyszenie to ma na celu wyrobienie w społeczeństwie żydowskiem, ducha obywatelskiego przez odczyty, broszury i inne tym podobne środki, a obok tego ma przystąpić do wydawnictwa czasopisma w języku polskim i żydowskim i do zakładania filij stowarzyszenia na prówincji — celem oddziaływania przeciw trującym wpływom, zresztą słabego już „Szomer Izraela.“

Pismo, które komitet chce wydawać, ma wziąć za wzór warszawski tygodnik „Izraelitę.“ Rzecz godna uwagi! „Izraelita“ wychodzi w Warszawie po polsku, we Lwowie zaś pismo Towarzystwa ma być redagowane w dwóch językach: polskim i żydowskim. Nie dziwimy się temu postanowieniu komitetu. W istocie bowiem, mimo całego ucisku ze strony rządu rossyjskiego, mimo mniejszej swobody prasy — stosunek między chrześcijanami i izraelitami w Kongresówce jest bezporównania lepszym niż u nas. Tam zamożniejsze rodziny żydowskie doskonale znają język krajowy i za swój go uważają.

Żydówki szczególnie, z klasy wykształconej wyborne piszą po polsku a w znajomości literatury narodowej zawstydziłby niejednego niby uczonego mężczyznę. W bogatych domach żydowskich bardzo często widzieć można teatrzyki amatorskie urządzane dla zabawy gości, a odegrane tak poprawną polszczyzną, że i śladu żydowskiego akcentu nie znajdziesz. U nas przeciwnie, nie tylko że wielu surdutowych żydów wcale nieumie po polsku, ale nawet nie starają się nauczyć, a językiem panującym w zamożniejszych domach jest niemiecki. Towarzystwo więc o którem mówiliśmy, obok większej swobody w działalności będzie też miało i wiele czysto wewnętrznych przeszkód do zwalczenia; sądzimy też, że komitet postąpił sobie bardzo rozumnie wydając pismo w języku żydowskim (nie niemieckim) i polskim zarazem, w ten sposób bowiem dziennik będzie mógł się przecisnąć tam, dokądby wcale nie doszedł, gdyby był tylko po polsku pisany.

Ufamy, że przewodnicy tak znacznej myśli nie zawiodą oczekiwań powszechnych i w tej myśli posyłamy im serdeczne życzenia jak najobfitszych owoców z dobrego ziarna, które zasiewać mają.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Opoczyński spojrzał z ukosa na kasztelana.

— Jeszcze raz powtórzę, — rzekł, — że znam pana, że mu wierzę, ale daruj mi, ludźmi jesteśmy; powiedz mi pan jak na spowiedzi...

Kasztelan ukląkł, złożył palce na krzyż i pełnym wzruszenia głosem uroczyście zawołał:

— W imię Boga w Trójcy świętej jedynego, na zbawienie duszy mojej przysięgam, że ona i ja jesteśmy niewinni potwarzy na nas rzuconej.

— Gdyby sąd dopuścił się panu odprzysiądz — rzekł mecenas — sprawa byłaby skończoną... ale to być nie może. Zapłacić mu, jak to pan słusznie powiedziałeś, jest uznać siebie winnym i niewiastę zbezcześcić — to niepodobna. Proces zdaje się nieuniknionym.

— Przyjmuję go więc jako krzyż na barki, ręką Bożą na nie wrzucony... Fiat! — rzeł kasztelan. — Brakło mojemu życiu nie potwarzy, bo te miotano na nie już nieraz, ale tego oklasku złych, od którego się zarumienić będę musiał; uśmiechy pobratymstwa jakiemi mnie powitają, uwięzną w piersi ale cóż począć?... znieść trzeba i ofiarować Bogu.

— Przyjmujesz waćpan sprawę moją? spytał kasztelan.

Opoczyński się skłonił tylko.

— Z największą wdzięcznością, że mi ją jaśnie wielmożny pan raczysz powierzyć, dla mnie jest to szczęśliwem prawie, bo mnie podnosi, ale wyrzekłbym się jej, byle nie przyszła do skutku.

— Teraz jest ona w twem ręku — dodał Żeliga — zdaję się na ciebie panie Antoni, jak na przyjaciela... Rób z tem co chcesz, pamiętaj tylko, że mi nie idzie o spokój, ale o obowiązek, nie o uwolnienie siebie, ale o sprawiedliwość, a wreszcie o los nieszczęśliwej istoty, która pada ofiarą niegodziwca.

Po krótkiej naradzie rozmowa się skończyła.

Mecenas wyszedł prosząc kasztelana aby się w mieście zatrzymał.

Najściślejsze wydane były rozkazy w pałacu, ażeby bytności pana nie zdradzono; zdawało się nawet iż *incognito* da się utrzymać, bo Żeliga nigdzie nie miał wychodzić, i z nikim oprócz Opoczyńskiego widzieć się nie chciał. Jednak około południa marszałek dworu, wielce zafrasowany nadszedł sam, niosąc kasztelanowi bilecik zapieczętowany sygnetem królewskim, zaadresowany nawet nie ręką Piatolego, ale własną Jego królewskiej Mości.

Kasztelan rozerwał z niecierpliwością pieczątkę. Bilet był następującej treści w języku francuskim.

„Kochany kasztelanie! Wiem że jesteś tu incognito i na chwilę, że wydany sekret twej bytności może ci sprawić chwilową nieprzyjemność, jednakże nie mogę oprzeć się chęci widzenia cię i pomówienia kilka słówek.“

W końcu król podpisał się przyjacielem. Żeliga pobladł.

— Zaczyna się męka! — rzekł — ale nie ma ratunku, uniknąć jej byłoby słabością

— Kto oddał bilet? — spytał kasztelan.

— Paź królewski, Płotnicki.

— Czy dodał co ustnie?

— Mówił, że król oczekiwać będzie pana kasztelana w Łazienkach, o ósmej wieczorem, na prywatną audjencję.

Nie było sposobu, wytłumaczenia się; uścisnąwszy stolnika, który pozostał sam w pałacu jako dobrowolny więzień, kasztelan pojechał.

Około posągu Sobieskiego czekał Płotnicki, domyślił się powozu, zatrzymał i grzecznie podjął się zaprowadzić do króla, który przechadzał się w ogrodzie.

Poszli więc pieszo bocznemi ulicami po za amfiteatr.

Stanisław August wracał od swych łabędzi sam jeden, w letnim ubiorze wieczornym, blady, smutny i zamyślony, postrzegłszy kasztelana powitał go ręką i uśmiechem, polecił Płotnickiemu aby nikogo nie wpuszczano i zostawiono ich samych na sam, a na ostatek ujął pod rękę przybyłego i pociągnął z sobą.

Pierwsze wyrazy rozmowy w tym wieku, który jeszcze wielką do komplementów przywiązywał wagę, były wymianą słodkich i nudnych grzeczności, zapytaniami o zdrowie, rodzinę itp.

Ukończywszy te preliminarja, król ścisnął rękę kasztelana i odstąpił kroków parę z uśmiechem.

— Spodziewam się — rzekł słodziuchno z tym wdziękiem głosu i słowa, jaki mu był właściwym, gdy chciał sobie kogo pozyskać — spodziewam się kochany kasztelanie, iż nie wątpicie i nie wątpiliście nigdy o moim dla siebie szacunku i przyjaźni. Nie weźmiecie mi więc za złe, gdy powodowany temi uczuciami zapytam co to za jakiś dziwny interes od wczoraj sobie szepcą do ucha? tyczący się was, jakiejś kobiety... nie wiem... jakiegoś grożącego procesu rozwodowego? Chciałbym być o tem przez was samych uwiadomionym dla tego właśnie, ażebym lekkomyślnym potwarcom mógł zamknąć usta.

Kasztelan, który się potroszę czegoś podobnego spodziewał, bo nigdzie przysmak skandalu nie był milszy jak na dworze króla, a usłużni przynosili tam codzień zapasy plotek na pokarm powszedni, odrzekł z uśmiechem:

— N. Panie! spotkało mnie wprost nieszczęście, jakie od złego człowieka spotkać może każdego, kogo chcą obedrzeć. Postrachem i groźbą skandalu chcą mi wyłudzić pieniądze. W rzeczy samej winy mej nie ma wcale, chyba ta, żem losu nieszczęśliwej kobiety ulitował się i starał się być jej przyjacielem i doradcą. A że ludzie nie łatwo wierzą w czyste intencje, a chętnie w słabości, naturalnie mogę być spotwarzony.

— A nie lepiejże byłoby ubić sprawę? spytał król.

— Nie mogę, bo bym się uznał winnym, a nim nie jestem.

Król się uśmiechnął.

— Ejże! szepnął cicho.

— N. Panie! — surowo odparł kasztelan — jestem niewinnym.

Król spoważniał.

— Smutna to rzecz — rzekł — gdy uczciwego człowieka spotka oszczerstwo i napaść, ale któż od tego wolny?

— Nie pojmuję tylko — dodał kasztelan — zkąd się już wieść o tem mogła rozpowszechnić po Warszawie, gdy nic jeszcze dotąd nie ma, prócz gróźb i intymidacyj.

— Plotka, mój kasztelanie, rozlatuje się jak pierze w powietrzu, a złe rychlej niż dobre... Gdybym waszmości mógł być pomocnym, z duszy serca się ofiaruję...

— N. Panie wdzięczen jestem W. K. Mości, ale proszę tylko byś wierzyć raczył, żem niewinien, i był łaskaw mnie bronić z tą pełną wiarą, z jaką ja obronę moją w ręce W. K. Mości oddaję.

Na te słową król począł ściskać kasztelana i powtarzać zapewnienia najgorętsze, najżyczliwsze. Ofiarował się sam w to wejść, zapobiedz itd. ale znalazł Żeligę nad podziw twardym i nieugiętym, i nie zdającym się lękać wcale.

To posłuchanie dało tylko kasztelanowi miarę rozgłosu, jaki już sprawa mieć poczynała... wiedzieli o niej wszyscy... zapobiegać więc, było to także do pewnego stopnia uznać się winnym. Kość była nieodwołalnie rzucona, kielich pełny stał do wypicia... odwrócić go niepodobieństwem.

Gdy w pałacu Żeliga, wróciwszy z Łazienek, spokojnie już opowiadał swą bytność u króla Barcińskiemu, przybyły do Warszawy od kilku dni Achinger, wygadawszy się z zamiarem przed dwoma prawnikami, którzy go wzięli w obroty, (bo dla nich sprawa podobna była wielce pożądaną gratką) chodził po najętej izdebce gospody na Tłumackiem i ważył rozpoczęte dzieło. Nie było mu też lekko na duszy choć się dobrze wprzód porachował. . Czekał on swojego adwokata, którym był sławny Bajkowski mecenas, sztuka wygadana, z wymowy ceniony, umysłu bystrego, i nie przebierający w środkach pokonania przeciwnika, gdy szło o zapasy u kratek. Mało którą sprawę Bajkowski przegrał zupełnie, adwersarzy nie szanował, stosunki miał wielkie, obawiano się go powszechnie, a płacić sobie kazał sumy bajeczne. Często nawet tak kierował nawą procesu, że go nie wiodąc przed trybunały, korzystną komplanacją umiał skończyć.

Wielka ludzi znajomość, umiejętne korzystanie z ich złych i dobrych przymiotów, popędów szlachetnych i namiętności, czyniły go niezwyciężonym. Do pomocy w ciężkiem zadaniu przybrał sobie z woli Achingera lubelskiego prawnika Żeleźca, przyjaciela szlachcica i jego *alter ego* od bardzo dawnych czasów.

Bajkowski miał naturalnego przeciwnika w Opoczyńskim, były to dwa różnych charakterów typy i dwie osobistości, mimo pozornie przyzwoitych stosunków, sobie niechętne.

Stosunek w świecie niemal przyjacielski dwóch panów mecenasów, ich wzajemne dla siebie względy, sposób pochlebny, w jaki się jeden zawsze o drugim wyrażał, nie przeszkadzało im w duchu uważać się za nieprzyjaciół. Nie miał większej przyjemności w życiu Bajkowski, jak gdy Opoczyńskiemu wedle jego wyrażenia, kurtę skroił; Opoczyńskiego twarz się rozjaśniała na chwilę, gdy Bajkowskiemu niespodziankę taką spłatał, że ten, pełen przytomności adwersarz, choc na chwilę zaniemiał i zmięszał się. Nigdy głuchy ów bój obu przeciwników nie przechodził w waśń widoczną, w namiętną kłótnię; oba przesadzali się w delikatności postępywania, ale chwytali zawsze zręczność podkopania się na wzajem. W gotującej się więc sprawie dla obu przysmakiem było, że się na polu tem spotkać mogli, gdzie z całą swą zręcznością, talentem, rozumem popisać się mogli.

Bajkowski czuł wyższość przeciwnika swego w tem głównie, że Opoczyński prawością i czystością charakteru go przechodził; Opoczyński mimo niepospolitego talentu, nie miał tej co tamten bystrości umysłu i przebiegłości; stosunkowo wyglądał on przy towarzyszu na ciężką artylerję, która gromi i burzy, ale nie wszędzie przejść i dostać się może, bo dla niej są drogi nieprzebyte, gdy dla innej broni lada ścieżyna i manowce starczą.

Były sprężyny, środki i sposobiki, których Bajkowski byle do celu wiodły, używać się nie wahał! gdy Opoczyński, nawet skutek z nich dobry, przewidując, posłużyć się niemi i wzdragał i brzydził. Bajkowski wypotrzebował więcej słabości człowieka, Opoczyński jego szlachetności; tem głównie różniło się ich postępowanie. Pierwszy nie

wahał się użyć kłamstwa, Opoczyńskiego słowo starczyło za przysięgę. Pełnomocnik Achingera był szczęśliwy ze sprawy, między innemi dlatego też, że na człowieka, za nieposzlakowanego dotąd mianego, cień rzucić miała, a wszelka surowa cnota nieugięta, była dlań z natury rzeczy — przeciwnicą.

Achinger, który się na wszystko ważył, mimo zuchwalstwa, z jakiem postępował, potajemnie zawsze karmił nadzieję, że do procesu nie przyjdzie, że sam rzucony postrach skandalu zmusi do jakichś układów. Nie taił on przed sobą, iż z trudnością przyjdzie mu walczyć przeciwko człowiekowi wysoko postawionemu w szacunku powszechnym, mającemu stosunki potężne, poparcie najpierwszych rodzin w kraju, łaski u dworu, i imię nieposzlakowane. Wolałby był nawet czemś mniejszem się zadowolnić, byle wyjść z interesu, który wiele kłopotów i kosztów obiecywał, a rezultat niepewny, i nie bez strony dlań sromotnej. Po naradzie więc dwukrotnej ze swym panem Bajkowskim, oczekiwał wiadomości od niego niespokojnie, i chodząc po izdebce stękał i narzekał, planując sobie jak na wszelki wypadek postąpić. Gdy godzina w której mecenas miał do niego wstąpić nadeszła, Achinger coraz niecierpliwszy wyszedł aż na ulicę, doczekując się wiadomości,

Nareszcie ów spodziewany długo doradca przybył, ale na twarzy jego wyczytał klient zaraz, że się tam coś nie najlepiej święciło.

Achinger przypadł do niego dysząc z niecierpliwości.

— A co, ojcze mój, a co? cóż słychać?...

— Źle, nie będę waćpanu tail, widziałem się z plenipotentem kasztelana, który mi wręcz odpowiedział, że na wszystko są gotowi i bronić się będą. Kasztelan już był zdaje się przez Barcińskiego zawiadomiony o postanowieniu pana, w sposób może aż nadto otwarty... podobnoś się tam jegomość niepotrzebnie wygadał i odgrażał. W żadne układy wchodzić nie myśli i czeka pozwów... gotów na wszelkie następstwa.

— A to tak! to tak! — zawołał mięszając się nieco, lecz fantazją nadrabiając Achinger, — to tak! no! to dobrze! to dobrze!

Bajkowski wszedł do izdebki, i ocierając pot z uznojonego czoła, (był bowiem barczysty i otyły dosyć) dodał:

— Rzecz więc stoi na tem, że serjo się potrzeba naradzić i rozważyć wszelkie środki nasze, bo porwać się i utknąć ja nie mogę, powiem panu szczerze, nie tyle mi idzie o pana, choć najlepiej życzę, jak o mnie samego. Niepewnej sprawy, w którejbym padł na cztery nogi, przyjąć nie mogę. chodzi o reputację. Przeciwko sobie będę miał potęgę — Opoczyńskiego, tem więcej pilnować się muszę. Zatem powinniśmy rzecz dobrze wprzódy strutynować, niżeli się ja jej podejmę.

Achinger był widocznie zafrasowany.

— Ha! no, chcą rozgłosu, chcą rozbębnienia, ja ani siebie ani ich żałować nie będę. Człek się ważył, to pójdzie do końca. Stracę wioskę, wyprzedam się do ostatniej koszuli, ale pokażę magnatowi. że bezkarnie po szlacheckich dworach plądrować nie można.

— A cobyś waćpan powiedział na to, — przerwał Bajkowski — gdyby Barciński zaprzysiągł, jako świadek strony przeciwnej, swoją rozmowę z waćpanem. Wszakże się to tam pono wygadało nad miarę?

— Ja tam tego nie pamiętam, co gadałem w pasji, — rzekł Achinger — człek w gniewie słów nie waży... ani one wagę u sądu mieć mogą. Ale czyż to podobna, żeby oni nie starali się ułożyć i zapobiedz skandalowi?

— Prawdę rzekłszy — odparł Bajkowski — możeby skłonni byli do ułożenia się, ale dziś to się im już na nic nie zdało. Rzecz nie wiem jak, ale roztrąbiona po mieście, od ucha do ucha poniosło się pono aż do dworu. Kasztelan już oczerniony, naturalnie tedy chce zmyć plamę, bo mówi, że jest cale niewinnym.

— A! niewinnym! niewinnym!—krzyknął tupiąc kulawą nogą Achinger, śliczne niewiniątko, które cudze żony bałamuci; ja mu jego okażę niewinność! ja mu dowiodę!

— Otóż tu właśnie o to idzie, abyśmy nasze dowody porządnie na sznurek znizali, zebrali i przygotowywali się, bo walka będzie nie lada i obrona rozpaczliwa... a rozgłos niesłychany. Można powiedzieć, że kraj cały zwróci na to oczy... jest to dlań *Testum primae classis* taki przysmak słony i pieprzny. Więc szanowny mój kliencie, nie żartem do roboty.

— Tak... do roboty...—zawołał Achinger i siadł za stół, radźmy!

Można już sobie wystawić wrażenie, jakie w stolicy i u dworu świeża uczyniła nowinka! Nie wiem czy co ludziom, zwłaszcza zepsutym, więcej do smaku być może, nad upadek tego, który ich swą cnotą upokarzał. Zacierają ręce z radości gdy do tej konfraternji kaleków mogą zapisać nowego członka; cieszą się, śmieją, czują podniesieni a każdy naówczas swą ranę mniej więcej odsłaniając bezwstydnie, szepce sąsiadowi do ucha z wewnętrznem zadowoleniem: — Takiej żem ja przecie szkarady nie zrobił... a toć był luminarz! toć świetna gwiazda! to uosobienie cnoty!

Z takiemi pogadankami latano po Warszawie, gdy wieść się rozeszła o historji kasztelana; ciekawi szukali Achingera, dowiadywali się o niego, radzi zaczerpnąć u źródła, napadano na Bajkowskiego, wyszukiwano Żeleżca, próbowano wyciągnąć coś nawet z twardego Opoczyńskiego, który jak opoka milczał. Król z wielkim taktem udawał, że nic nie wie, ale dając do zrozumienia że mu wiedzieć o tem nie wypada, bronił on kasztelana w tak żarliwy sposób, że gorącość obrony niemal przekonywała o wielkości winy.

W całej tej gmatwaninie ludzkich słabości i nędz żywota zepsutego fałszem, dla zimnego postrzegacza był przedmiot ciekawy do badania.

Oblizywano się na samą nadzieję tej sprawy, chociaż powszechnie twierdzili wszyscy, że do niej pewnie nie przyjdzie, że się to przeciągnie, że jak w bajce: albo osioł, albo nauczyciel zdechnie, a plama tylko zostanie.

Potwarz jest jak błoto; choćby na niewinnego padła, ślad po niej przetrwa.

(C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

Pieśni religijne Karpińskiego były tak samo popularne, jak sielanki, z tą tylko różnicą, że popularność ta była daleko bardziej zasłużoną, i że kiedy sielanki były przyjemną lekturą po dworach i dworkach szlacheckich, pieśni religijne były i są do dziś śpiewane przez szlachtę po domach, przez lud po kościołach. Sielanki z bardzo małym wyjątkiem, zestarzały się i budzą niesmak; pieśni religijne nie utraciły świeżości. Natchnęła je bowiem czysta religijność, która stanowi jednę z najpiękniejszych cech charakteru poety, i przyjemnie jaśnieje na tle stanisławowskich czasów. Pod tym względem Karpiński jest niejako naszym Rousseau. Nazwałem religijność jego czystą, to znaczy, że jest ona wolną od wszystkich cech religijności, jaką przez dwa wieki krzewili Jezuici, od fanatyzmu, przesądów i zabobonów. Wychowany w głębokiej, ale ślepej i przesądnej wierze, Karpiński oczyścił ją w sobie przez wykształcenie, ale jej nie utracił. To też w pieśniach jego treści moralno-filozoficznej znajdują się dwie małej zresztą wartości literackiej, które także wskazują kierunek religijny poety. Jedna z nich ma tytuł „Do Deistów,“ pod którymi rozumiał Karpiński ateuszów, a druga „Fanatyzm.“ W pierwszej walczy poeta z tymi, którzy nie uznają Twórcy i opiekuna wszech rzeczy, w drugiej z tymi, którzy imienia boskiego używają do gnębienia ludzkości. Nawet pod starość nie przywiązywał znaczenia do mechanicznego nabożeństwa, i w pamiętniku swoim pisze, że do kościołów nie często kwapił się, ale za to widywał Boga na słońcu wschodzącem siedzącego, i oglądającego światy niepoliczone. Kraszewski w swoim artykule poświęconym Karpińskiemu *) odmówił mu uczucia religijnego, i za jeden z dowodów przytoczył ową opieszałość w uczęszczaniu do kościołów, jak gdyby prawdziwa religijność mogła polegać na tak zewnętrznych podstawach. Powiada dalej, że wierzył w Boga i był cnotliwym, ale nieco niżej dodaje, że wpływ XVIII wieku zabił w nim wiarę, co się w żaden sposób nie daje z sobą pogodzić, bo kto wierzy w Boga, ten już ma wiarę może nie katolicką, ale zawsze wiarę. A Karpiński, jak to widać ze wszystkich pism jego, nietylko miał głęboką wiarę w Boga, ale i w nieśmiertelność duszy, był zatem religijnym nietylko w ogólnem znaczeniu, ale i w ściślejszem, chrześcijańskim. Tem większa przytem zasługa jego, że choć oddzielony od ludu wykształceniem, umiał się zniżyć do niego, i podawał mu swoje pieśni religijne w formie zupełnie dlań przystępnej. Jeżeli zaś, jak powiada Kraszewski, modlitwy wieczorna i poranna tak są ułożone, że mogą je ludzie wszelkiej wiary odmawiać, to może być największą pochwałą poety, bo taką właśnie jest najwznio-

*) Obrazy z życia i podróży. T. I. str. 123.

*

ślejsza modlitwa, jaką zna kościół chrześcijański tj. „Ojcze nasz." Tem czystszemi, tem piękniejszemi wydadzą się nam pieśni Karpińskiego, jeżeli je porównamy z temi, które pochodziły z jezuickich fabryk i dawane były wówczas ludowi do śpiewu *).

Sędziwy poeta miał to szczęście, że mógł za życia słyszeć pieśni swoje przez lud śpiewane po kościołach. Już w kancjonale krakowskim z r. 1805 znajdujemy jego pieśń poranną, pieśń wieczorną, i pieśń podczas robót. Dwie pierwsze stały się codziennemi modlitwami wszystkich dworów i dworków szlacheckich; inne, jak np. „Bóg się rodzi moc truchleje," „Nie zna śmierci Pan żywota," „Zróbcie mu miejsce" (pieśń na Boże Ciało) były śpiewane w odpowiednie święta przez lud po kościołach. Trzy ostatnie znajdują się w najnowszem wydaniu kantyczek **), co jest dowodem, że stały się one już wieczystym kapitałem ludowej poezji religijnej.

Najmniej pięknemi z pieśni nabożnych Karpińskiego są te, w których przeważa moralizowanie (jak np. Pieśń o powinnościach chrześcijańskich); najpiękniejszemi zaś te, które są wylewem uczuć zwróconych wprost do Boga, lub malowniczem przedstawieniem obrzędów. Trzeba jednak przyznać, że z niektóremi pieśniami Karpińskiego takeśmy się zrośli, że trudno nam o nich bezstronny sąd wydać. Do takich należą np. pieśń wieczorna i poranna; gdy je ważymy krytycznie, niepodobna oddzielić od nich uroku wspomnień dziecinnych, który je o wiele piękniejszemi czyni. Oprócz dwóch pomienionych, zaliczamy jeszcze do piękniejszych pieśni „Na procesję Bożego Ciała" i „Podczas chrzcin dziecięcia." Ta ostatnia odznacza się pewną męskością tonu, której gdzieindziej nie szukać w Karpińskim. Oto jej ostatnia strofa:

Chwal Pana twego każda duszo żywa,
Że z łaski jego na ziemi przybywa
Nam bliźni; człowiek krajowi potrzebny,
Rodzicom dziecię a Bogu służebny.

Co się tyczy psalmów, to porównywając tłumaczenie Karpińskiego z przekładami Kochanowskiego niezaprzeczoną wyższość spostrzegamy po stronie ostatniego. U Kochanowskiego większa powaga, większa treściwość, większa jędrność wyrażenia, jakkolwiek i Kochanowski w porównaniu z przekładem prozą bywa często rozwlekłym. Weźmy np. koniec psalmu 44. (Deus auribus nostris audimus). U Karpińskiego brzmi on:

(A mimo to) nam cierpieć kazano,
Jak owce na rzeź nas szacowano!
Powstań o Boże, tak długo czemu
Bronisz przystępu dziecięciu twemu?

*) Oto na próbkę owych pieśni parę wyjątków z kancjonału krakowskiego, wydanego 1794 r. z pieśni „O pocieszeniu Najśw. P. Marji":

Zagrzmij świecie cały,
Tryumf doskonały,
Rzucam plauzy tryumfalne,
Pozdrowienie momentalne.
Marja w portrecie
Ratuj mnie w tej mecie itd.

Z pieśni o św. Janie Nepomucenie w upadku na „sławie człowieka":

Niechajże pamięta, kto cudzym honorem
Trząsa bez żadnego respektu,
Że gęba zawzięta i z swoim aktorem,
Doczeka się także despektu itd.

**) Kantyczka czyli zbiór najstarszych i najnowszych kolend, pastorałek i pieśni kościelnych. W Bochni, nakładem Pisza, 1875.

Niechcesz mi twarzy przywrócić swojej,
I zapominasz o nędzy mojej.
Już duma nasza upokorzona
I cała istność prawie zniszczona.

Powstań, o Panie, na gwałty cudze,
I podaj rękę słabemu słudze,
Może już dosyć upokorzenia,
Zbaw nas dla sławy twego Imienia.

U Kochanowskiego:

Dla ciebie mordy cierpim, a twoje niewinne
Sługi równie tak biją, jako owce inne.
Powstań Panie, a ten sen zetrzyj z oczu swoich,
Ani wiecznie oddalaj od siebie sług twoich.
Czemu swą twarz odwracasz, czemuś swej litości
Zapomniał w tej okrutnej naszej doległości?
Serce w nieszczęściu taje i myśli strapione
Ciała siły pozbywszy, leżą obalone.
Powstań Panie, a wyzwól smutne więźnie swoje,
Prosim cię przez wrodzone miłosierdzie twoje.

W przekładzie biblji Radziwiłłowskiej:

„Ale my na każdy dzień bywamy dla ciebie zabijani, a mają nas jako owce na rzeź zgotowane.

„Wstańże, przeczże spisz Panie? ocuć się, a nie odmiataj nas na wieki.

„Przeczże zakrywasz oblicze twoje, a zapominasz trapienia i ucisku naszego?

„Albowiem dusza nasza złożona jest równo z prochem, a żywot nasz przysechł do ziemi.

„Powstańże na ratunek nasz, a odkup nas dla miłosierdzia Twojego."

Porównywając trzy te przekłady, widzimy, że psalm Karpińskiego odznacza się lekkością i płynnością wiersza, ale pod względem siły wyrażenia, a nawet wierności, o wiele niższym jest od psalmu Kochanowskiego, a tem bardziej od przekładu prozą. U Karpińskiego zupełnie zatraca się obraz przedstawiający człowieka, który w mniemaniu, że tylko dla tego nieszczęścia go trapią, iż Bóg zasnął, stara się go kilkakrotnie obudzić. Karpiński nie mógł lepiej od Kochanowskiego przełożyć psalmów, ale mógł z wielkim pożytkiem ogólnym wydać psalm Kochanowskiego, zmieniwszy niektóre zwroty i wyrazy, dziś już zupełnie dla ogółu niezrozumiałe. Uczynił on to z kilku psalmami, ale zmiany, które powprowadzał, nie wszędzie były szczęśliwe. Tak np. w najpopularniejszym psalmie w Polsce „Kto się w opiekę podda Panu swemu" najniepotrzebniej przemienił niektóre wiersze, kiedy należało tylko najwięcej parę wyrazów odmienić. To też poprawki Karpińskiego w tym psalmie nie utrzymały się, i naród polski śpiewa go do dzisiaj słowami Kochanowskiego. Tak znowu psalm 133 (Ecce quam bonum et quam jucundum) mógł wejść do nowego psałterza bez najmniejszej zmiany i byłby prawdziwą jego perłą; ale nowy tłumacz czuł się w obowiązku przerobienia dwóch ostatnich zwrotek, na czem psalm stracił.

(Dok. nast.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka starorzymska.

(*Ciąg dalszy*).

Otóż ten cel został osiągnięty w tym kamiennym olbrzymie, gdy półkolumny włożono między łuki.

W każdym z filarów jakby wmurowana kolumna. Pół podstawki, pół cylindra i pół głowicy wystaje z muru, a całość sięga od podstawy filaru aż do gzymsów, co piętra między sobą dzielą. Gzyms ów przybiera wtedy podobieństwo fryzu spoczywającego na kolumnach.

Trudno było o myśl szczęśliwszą. Półkolumna stanowi silną jednostkę. Między półkolumnami łuk z przyległą częścią filaru w nową, smukłą, silną, wyraźną osobistość wyrasta. A całość odgraniczona u dołu i u góry pozorami fryzów.

W podmurowaniu dolnem występuje poważna siła. Nie ma tu żadnych ozdób, są tylko ciosy. Przeciwnie jednostajny górny mur, podzielony na pola zapomocą płaskich pilastrów. Półkolumny pierwszego piętra krępsze i silniejsze, oparte na skromnych podstawkach, nieżłobkowane dziś i ubrane w doryckie głownice. Półkolumny drugiego piętra zresztą podobne, są smuklejsze i mają u głownic jońskie ślimaki. Najsmuklejsze półkolumny trzeciego piętra, mają podobnie jak pilastry czwartego piętra głownice korynckie.

Dziś szare Koloseum było niegdyś przyobleczone powłoką marmurową, i wówczas półkolumny i pilastry były żłobkowane. Fryzy nad kolumnami były ubrane w odpowiednie i tradycyjne doryckie, jońskie i koryncskie ozdoby, a tak półkolumny, jak fryzy i brzegi łuków wykonane z bronzowego marmuru, odbijały od białego tła całości. Pod każdą arkadą był ustawiony posąg, tak że cały naród posągów stanął przed ludźmi.

Stały wreszcie u szczytu łuków wystające gzymsy z bronzowego marmuru, które brzegową opaskę każdego łuku u szczytu przerywały i na dwie połowy dzieliły, tworząc tak zwane *archiwolty*. Bo tak nazywają połowę łuku. Rezultatem tych wszystkich ozdób był rozwój indywidualnego życia, obcego zazwyczaj rzymskim budowom. Łuki były zbyt małe aby być potężnemi, ale były harmonijnemi osobnemi całościami. Wśród każdego łuku zamieszkał posąg, i patrzał na mrowiący się lud, daleko u dołu. Dokoła łuku lśniła białość marmurów, objętych w nowe ramy przez ciemne półkolumny i gzymsy. Łuki spiętrzone były, lotne, ale spokojne. Linje półkolumn pędziły w górę, łuki zaginały się okrągło, a gzymsy i mur górny, nadawały wszystkiemu ciche poziome zakończenie.

Mimo swego ogromu Koloseum robiło przedewszystkiem lotne i bujne wrażenie. Lud łuków i półkolumn kołował tu w nieskończoność, i niby tańczył w nieskończoność. Nie było w nim miary i liku, ale było wielkie, tętniące, nieprzeliczone życie — a Rzymianie chlubili się tym amfitetrem, bo choć stracili tu po części senną i zimną a niewyraźną, lecz symboliczną i tęskną falistość i abstrakcyjność swych gmachów, zdobyli, znów niespełna, i helleńskie życie i helleńską rozmaitość.

Półkolumna nie tętni pełnem życiem kolumny. W łuku nie wiedzieć gdzie siedziba indywidualności — w próżni czy w architekturze muru. A zbytni tłum łuków i kolumn niszczy część indywidualnej siły. Mimo to wszystko Koloseum żyje niezawodnie niezliczonem, organicznem życiem.

Widzimy tedy w budownictwie rzymskiem dwie rzecze jemu tylko właściwe: miłość linji zagiętej, krągłej, i miłość ornamentyki. O owem przywiązaniu do linji krągłej mówiliśmy już nieraz, a wrócimy jeszcze do tego przedmiotu; warto uwagi od tego nie odwracać, bo w tem odkryć łatwo jedną z charakterystyk rzymskiego ducha.

Teraz przedmiot nasz nakazuje nam zwrócić uwagę wyłącznie tylko ku ornamentacyjnym budowom.

W każdej budowie rzymskiej chodziło o uświetnienie, o uczczenie Romy. Każda budowa taka była niejako symbolem Romy, potężnej, samotnej i zjednoczonej w sobie. Grek szukał tylko piękności, Rzymianin podporządkował właściwą piękność symbolicznemu znaczeniu gmachów. Chciał, żeby mu wszystko mówiło o Romie, bo taka mowa przypominała mu że i on ma udział w panowaniu nad światem. Żadne uczucie estetyczne nie równoważyło żądzy wspomnień dumnego patrjotyzmu. Prócz tego gmachy musiały być obszerne, aby cały lud rzymski mógł się w nich zmieścić, i przestronne, aby lud rzymski mógł własne przejrzeć tłumy. Musiały być świetne, zdolne i w gzymsy i kolumny misterne, i w greckie pomysły, i w posągi i w mozaiki i w kosztowne marmury, aby pokazać, że lud rzymski bogaty, aby lud ów własnem zadziwić bogactwem. Wszystko w nich miało i patrjotyczne i urzędowe znaczenie.

I w tym względzie najbardziej rzymskiemi gmachami są łuki tryumfalne.

Stawiano je na to tylko, aby były ozdobą ulic Rzymu, i miałyby charakter czysto ornamentacyjny, gdyby nie ich głębsze patrjotyczne znaczenie. Przez takie bramy wjeżdżał do Rzymu Cesarz albo wódz, gdy wracał ze zwycięskiej wyprawy, i taka brama miała pamięć zwycięstwa uwiecznić. Stawiano je całe z marmuru, a trzyma między niemi prym brama Tytusa, tego samego cesarza co i Koloseum wybudował.

Stoi tu przed nami pojedyńczy, indywidualny wielki łuk, łuk bardzo potężny i samotny, oparty o dwa grube kwadratowe filary. Sklepienie łuku wydaje się z dołu olbrzymiem, hardo w powietrzu bujającym ciężarem. Ku górze, brama zakończona prostokątnym, czworobocznym, podłużnym, poziomym murem, który ze wszech stron na półtora łokcia od filarów i reszty gmachu odstaje. Tę wystającą część dźwignęło ośm kolumn ustawionych parami u obydwu frontów, przed filarami. Gmach ten łatwo przejrzany. Widać bramę, nad nią wystający wielki spokojny gzyms, a pod gzymsem, po każdej stronie bramy po dwie kolumny. Całość odznacza się nieociężałą i spokojną siłą, a wdzięcznym ładem.

Kolumny jednak mało potrzebne, i mało od muru odległe, budzą tylko silniej od półkolumn złudzenie organizmu, ale służą podobnie jak one tylko ku ozdobie. Należą one do porządku rzymskiego. Stoją najpierw na wysokich, smukłych, czworobocznych podstawkach, na których leży dopiero właściwa koryncka podstawka. Dalej wznosi się pień kolumny z koryncka smukły i żłobkowany. Głownica zwraca na siebie całą prawie uwagę. Widać tu jońskie rogi baranie, wyrastające z korynckiego kosza zdobnego w liście akantu. W tych kolumnach widać wyraźnie, że mają służyć ku ozdobie. Bogata choć ciężka głownica bawi oko, a o to chodziło Rzymianinowi.

Kolumny takie poraz pierwszy na bramie Tytusa ujrzały światło dzienne; podobały się bardzo i rozpowszechniły się tak w Rzymie jak i w zachodnim świecie.

Napis na górnej części bramy przypominał zwycięstwo narodu rzymskiego. Cała brama była to właściwie nad miarę zdobna tablica pamiątkowa.

Zanim opuścimy drugą połowę pierwszego wieku po Chrystusie, którą epoką Flawiuszów przezwano, powiemy jeszcze, że stawiano w niej często i Etruryjskie świątynie, z tą jednak różnicą że ich ganki spoczywały na korynckich kolumnach, że liczne mozaiki zdobiły front, że półkolumny występowały ze ścian celi, i że mnogie posągi jaśniały na przyczołku. Dzięki temu wszystkiemu świątynie owe nabierały lotności, miłej rozmaitości i bogactwa, i przypominały bardzo prawdziwą świątynię koryncką. Najpiękniejsza taka świątynia dotrwała w całości w *Nimes* we Francji południowej.

Po epoce Augusta, i po epoce Flawiuszów nastał okres Antoninów, jak nazywano następujących cesarzy — i z nim zjawiły się nowe formy w sztuce rzymskiej. Najcharakterystyczniejszemi formami owej epoki, są kolumny posągonośne — świątynie krągłe otoczone portykami, i świątynie o półkolumnach.

Z posągonośnych kolumn najsławniejszą kolumna cesarza Trajana w Rzymie. Jest to bardzo cienka, cylindryczna spiżowa wieża, stojąca na małej podstawce, a zakończona krągłą powierzchnią, na której stał niegdyś posąg cesarza, zastąpiony dziś przez figurę świętego Piotra. Wieża ta podobna do olbrzymiego palca, miała znów przedewszystkiem patrjotyczne przeznaczenie. Dźwigała w powietrze posąg zasłużonego imperatora. Nie budziła wrażenia siły, i nie była dość bujną aby się wydać lotną. Była martwą i nieorganiczną, ale odznaczała się mnóstwem płaskorzeźb zdobiących całą jej postać. Płaskorzeźb tych nie dojrzał nikt z dołu, ale cesarz cieszył się tem, że kazał ich wiele wykonać, a lud cieszył się wierząc na słowo, że jest ich moc, i że głoszą zwycięstwa Romy. Do kolumny Trajana jest zupełnie podobną kolumna Antonina.

Ze świątyń krągłych otoczonych portykami, najsławniejszą jest świątynia Sybilii w Tiwoli. Mały krągły budyneczek zwisł nad przepaścią. Kopuła rzymska świątynkę wieńczy, a kolumny korynckie otaczają ją dokoła. Świątynka to milutka i urocza. Widna z daleka, zachwyca starannem wykończeniem drobniutkich szczególików.

Świątynie czworoboczne bardzo pospolite w okolicy Rzymu, są to podłużne czworoboczne pokoiki, pozbawione myśli architektonicznej. Na zewnątrz tylko ozdobione półkolumnami bawiącemi oko, i udającemi dość nieszczęśliwie portyk. Najsławniejszym gmachem z tej epoki jest grób cesarza Hadryana, zwany dziś zamkiem anioła, a będący tylko powtórzonym na olbrzymie rozmiary grobem Cecylji Metelli. Z daleka już zadziwia szarą masą. (C. d. n.)

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

Franciszka Ksawerego Martynowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Czasami jednak i w owej solidarności popełniały się niekonsekwencje ze szkodą niektórych mistrzów, zwłaszcza zamożniejszych. Rzeźnicy często uchwalają, że tylko pewną liczbę wołów wolno każdemu zabijać, liczba ta bywała zawsze równą dla wszystkich. Niesłuszna ta uchwała nietylko że szkodziła mistrzom rzeźnickiego kunsztu, ale nadto wyrządzała krzywdę kupującej publiczności, która tym sposobem musiała się stosować do interesów i zachceń rzeźnickich Mogło zabraknąć mięsa na potrzeby codzienne, a ustawa cechowa nie pozwoliła go więcej na razie przyrządzić. Solidarność cechowa obowiązywała również członków korporacyj rzemieślniczych i przy zakupnie surowego materjału. Nie dość, że cechy wyrabiały sobie przywileje, na mocy których przypadało im pierwszeństwo przed publicznością w zakupnie warstatowego materjału, — ale nadto i sami bracia między sobą obowiązani byli do pewnych ustępstw na rzecz zakupna. Szewc np. gdy na targu zakupił więcej skór niż jego brat rzemieślnik, musiał mu odstąpić część ze swego zakupna, lub zaniechać dalszych nabytków, jeżeli ich drugi brat potrzebował. Toż samo działo się pomiędzy członkami innych rzemiosł. Podejście zaś wszelkie tak w rzemiośle, jak i zakupnie materjałów surowych ustawy cechowe surowo karały, tak dalece nawet, że większe w tym względzie przewinienie odbierało mistrzowi prawo prowadzenia rzemiosła, a nierzadko skazywało winnego i na bezeceństwo.

Ale wróćmy jeszcze do stosunków towarzyszy rzemieślniczych. Mieliśmy już powyżej skreślony stosunek towarzysza do mistrza i jego warunki życiowe — teraz wypada nam nadmienić o jego wędrówkach, jakie obowiązany był odbywać, zanim otrzyma przywilej mistrzowstwa. Średnie wieki nie posiadały specjalnych szkół rzemieślniczych, tajemnice rzemiosła przechodziły wtedy z pokolenia na pokolenie drogą tradycji, — a że czuły doskonale ważność doskonałych rzemieślników, więc dokładały wszelkich możliwych starań, żeby ich coraz to więcej osiągnąć. Szkołę więc specjalną, fachową, zastępuje tam wędrówka czeladnika z miasta de miasta. Każdy zatem czeladnik, jeśli chciał zostać mistrzem, musiał odbyć taką naukową podróż. W ustawach cechów miasta Kalisza z r. 1657 czytamy, że „każdy uczeń po wyuczeniu, gdy będzie wyzwolony przez mistrza swego, cztery lata do miast cechowych uprzywilejowanych wędrować będzie powinien“ (L. Hubert. Pamiętniki warszawskie z 1861 T. I str. 278) Wprawdzie można było i na miejscu ćwiczyć się jakiś czas u którego mistrza, ale w tem były pewne trudności, młodzież przeto rzemieślnicza wybierała zazwyczaj wędrówkę.

To też wszystkiemi gościńcami większych i sławniejszych miast roili się wędrowni czeladnicy, spiesząc po nowe, nieznane sobie światło dla swojego fachu. Każdy z nich bywał opatrzony cechowemi świadectwami, stwierdzającemi tożsamość osoby i jakość rzemiosła. W czasach jednakże dawniejszych, kiedy to sztuka pisania i czytania mało komu była dostępną, wtedy niepodobna było myśleć, żeby ją posiadał każdy nawet z panów starszych cechowych. Zamiast więc w pismo, zaopatrywała się wędrowna czeladź w tabliczki swojego cechu, na których wyryty był lub wymalowany znak rzemiosła i osobisty monogram wędrowca, i z takim talizmanem biegł od miasta do miasta. A nie stanie mu się nic złego, bo za okazaniem takiej tabliczki lub znaku, gospody cechowe stawały dlań otworem. W nich też znajdował towarzysz schronienie kilkodniowe, potrzebne do przejrzenia się miejscowym warstatom jego kunsztu, porobienia znajomości fachowych lub przyjęcia roboty u którego z mistrzów.

Charakterystyczne to było przyjęcie na gospodę wędrownego czeladnika. Już go panowie starsi przyjęli na mocy okazanego im znaku cechowego, co służył w miejsce świadectwa, mimo to jeden z mistrzów staje naprzeciwko przybyłego, robi przed nim różne figuryczne znaki po powietrzu, uderza wedle pewnego sposobu w stół lub ławkę, a gość to wszystko co widział i sły-

szał powinien zrozumieć wybornie, jeżeli się rzeczywiście liczy za tego, za kogo się podaje. Znaki te bowiem i stukania są to tajemnicze zgłoski i wyrazy właściwe każdemu z rzemiosł, na których tylko wtajemniczony mógł się rozumieć. Bieda z tym, co ich nie pojął, wtedy bowiem panowie starsi i gospoda, nietylko że mu nie dadzą pomocy, ale go wydalą ze swego grona, jako przybłędę i oszusta. Każdy więc cech posiadał swoją i dla wszystkich stopni rzemieślniczych tajemniczą mowę, w którą członek korporacji rzemieślniczej stosownie do swej godności bywał wtajemniczany. Mowa ta zaginęła w obec dzisiejszych pokoleń, tylko szpargały wiekowe o nich wzmiankują. A przecież wszyscy mistrzowie sztuki i rzemiosł średniowiecznych posiłkowali się nią w czasie swoich wędrówek po obcych miastach. Jeszcze tylko owe tabliczki wędrowców błąkają się tu i owdzie po starych miastach cechowych. Tak np. Wiedeń szczyci się tego rodzaju zabytkami, co aż X i XI wieku sięgają swoim początkiem. Na tabliczkach tych wyczytano i imię Wolcnera, Krakowianina, co po to został zaproszony do Wiednia, ażeby Niemcom wzniósł przybytek boży, pod wezaniem św. Szczepana, który po dziś dzień, pomimo tylu wieków, jaśnieje całym blaskiem romańskiej sztuki, tak, że jej ostrołuk następnych stuleci stłumić nie potrafił.

Jakoż wskutek owych obowiązkowych podróży rzemieślniczych, przyswajali sobie przyszli mistrzowie wszelkie nowe zdobycze fachu, a ocierając się pomiędzy ludźmi obcymi, kształcili tym sposobem i siebie samych. Ta droga właśnie rozpowszechniła po świecie cywilizowanym wszystkie tajemnice i właściwości sztuki ostrołukowych zasad, za jej pośrednictwem różnego rodzaju wyroby średniowieczne zaznaczyły się tak charakterystyczniejszemi i odrębnemi znamionami. To więc, co dzisiaj nasi rzemieślnicy zdobywaia za pośrednictwem szkół fachowych, publikacyj specjalnych i rozwiniętej komunikacji, średnie wieki osiągały za pomocą wędrówek członków stowarzyszeń cechowych. A nie była widocznie wędrówka tak uciążliwą dla rzemieślników — bo nie rzadko spotkałeś towarzysza jakowego kunsztu, któremu już wiek szronem głowę przyprószył, a mimo to bieży on jeszcze od miasta do miasta z torbą wędrowną na plecach, co dlań stanowiła całe mienie. Zresztą niedawno temu jeszcze samiśmy znali tego rodzaju towarzyszów.

Czeladnik wyzwolony, wędrówkę ukończył, miałby więc wszelkie prawo osiąść w miejscu, które sobie upodobał, i warstat na swoją rękę rozwinąć; ale jeszcze jedną próbę musi on odbyć, zanim dojdzie do upragnionego celu. Oto panowie starsi cechowi każą mu zrobić okazową sztukę (maisterstück), która ma orzekać o uzdolnieniu kandydata mistrzowskiego. Przytaczamy tu parę przykładów w tej sprawie, czerpanych z ustaw cechowych.

Tak tedy połączone cechy miasta Kalisza uchwalają w XVII wieku, że każdy towarzysz siodlarski, chcąc zostać mistrzem, powinien zrobić „siodło wołoskie kością naokoło osadzone; żad ma być rozkrawany, ma mieć rozmaite rysowania tak zad jako i przodek tego siodła; a ma mieć kwiaty rozmaite woskiem także rozmaitym napuszczane; ma być pokryte czerwonym safianem gładko przeszywane; ma być też lamowane w koło i frandzla czerwona, a ma być z taszkami (zapewne olstra). Drugie siodło usarskie ma być obite mosiądzem w koło szafra (?) i w koło przodku, także i głowice ma być poszyte safianem brunatnym i ma być czapą lamowane; poduszka ma być aksamitna zielona, podkład do tego siodła ma być karasiowy obszyty półszarłaciem w około. Trzecie siodło, które zowią warak, rozkrawany zad z głową rogatą, które ma być obite blachą żelazną w około zada i z głową rozmaitemi kwiatami; ma być wybijane, także i szorty (?) mają być obite w koło, jeno z obwiedzeniem blachy.“ (L. Hubert Pamiętniki T. I. str. 283, 284). Tamże na stronicy 276—277 czytamy, że takiej popisowej „sztuki robotę mistrze mu (czeladnikowi) naznaczą, u którego z braci upatrzą, którą tam, gdzie naznaczą, a nie indziej robić ma i one wystawić i oddać w niedziel sześć podług postanowienia każdego rzemiosła niżej opisanego; a gdyby jej w tym czasie nie oddał, trzy kamienie wosku do bractwa przypada. Do tego przy robieniu sztuki powinni będą dwa bracia rzemiosła tego doglądać, jakoby podług opisania była wystawiona; którą jeśli nie tak wystawi, a przed bracią to uznane będzie, znowu ją robić powinien dotąd, ażby one tak wystawił, jako jest opisana“.

Powiedziałby może kto dzisiaj, że tego rodzaju przepisana robota krępowała wolę i upodobanie rzemieślnika, że niekorzystnie oddziaływała na jego twórczość i fantazję; — pokazuje się jednak, że tak nie było, jeśli tylko zechcemy zwrócić uwagę na rozliczne zabytki średniowiecznych rzemiosł. Mistrzowie rzemiosła nie dla tego dawali ową sztukę do roboty, ażeby kandydat mistrzowstwa takie a nie inne przedmioty wykonywał w przyszłości, ale żeby dobrem, i umiejętnem wykonaniem onej, dowiódł rzeczywistego uzdolnienia w swoim fachu. Zresztą wszystkie średniowieczne rzemiosła odbywały takie praktyki — a mimo to nie potrzebują się one wstydzić za swoje wyroby, nawet w obec naszych czasów pełnych zarozumiałości. Widzimy więc w dawnych stuleciach wykonywanie popisowych sztuk nietylko pomiędzy rzemieślnikami, ale i pomiędzy mistrzami dłuta i pędzla. Prawda, że na owe czasy malarstwo i rzeźbę podciągać zwykli pod miano rzemiosł, a malarze i inni artyści wiązali się w takież cechy, jako i szewcy, przecież to nie zmienia wcale rodzaju zajęcia, i konieczności podonczas wykonania sztuki popisowej.

(C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Pan Dumphy otrzymuje wiadomości familijnej natury.

— Trzęsienie ziemi, powtórzył wesoło pan Rollingstone, zwracając się ku swym gościom. Teraz już prawie wszystkiego użyliśmy, co tylko ofiarować mogłem. Niech się pani nie trwoży, ciągnął dalej zwracając się do pani Raynor, która poczęła doznawać spazmatycznych ataków, — nikomu to jeszcze nie zaszkodziło.

— W ciągu dwóchset lat nie zginęło w Kaliforni tylu ludzi od trzęsienia ziemi ilu na waszych wybrzeżach ginie w ciągu jednego lata od piorunu, — rzekł p. Dumphy.

— Silniejsze nad to nigdy się zdarza — rzekł p. Pilcher, napomykując tem, że na wybrzeżach oceanu Spokojnego nawet zjawiska natury mają pewną nieprzekraczalną granicę.

— Zawsze przemija w jedną minutę, jak państwo widzicie, dodał p. Dumphy, — i... a!... a to co?

W jednej chwili znowu wszyscy byli na nogach i znowu pobledli i dech w sobie zatrzymali — na ten raz p. Raynor i jego żona także. Ale teraz... przejeżdżał tylko powóz.

— Chodźmy pod werandę, rzekł p. Dumphy i podał pani Raynor rękę z miną jak gdyby dla tego tylko wstał. Poszedł naprzód, a za nim całe towarzystwo z pewnym pospiechem.

Pani Sepulvida pozostała na chwilę z Arturem w tyle i szepnęła mu:

— Odwieź mnie pan jak najprędzej do domu.

— Przecież pani nie zaniepokoiłaś się na prawdę? zapytał Artur.

— Znajdujemy się tu zbyt blisko morza, odrzekła, z drzeniem wskazując na Ocean. — O więcej pan nie pytaj, — dodała nieco ostro. Czy nie widzisz pan jak ci ludzie śmiertelnie są przerażeni?...

Pomimo stanowczych zapewnień panów Pilcher, Dyce i Dumphy, że trzęsienie ziemi nie tylko nie jest niebezpiecznem, ale nawet posiada przymioty korzystnie na zdrowie wpływające, weranda, gdzie zawsze pełno było gości, teraz była pusta. Nawet wymowni obrońcy powyższej teorji zdradzali pewień stopień zniecierpliwienia, pragnąc jak można najprędzej wydostać się na otwartą ulicę.

Przejażdżka, trwająca około godziny, przywróciła wesołe usposobienie towarzystwa, a pana i panią Raynor znowu wprowadziła w stan chronicznego podziwiania i unoszenia się.

Pani Sepulvida i Poinsett jechali jednokonnym otwartym powozem. Po niejakim czasie Artur począł prosić pięknej swej towarzyszki by mu objaśniła swoją obawę morza.

— Jest stare podanie, rzekła donna Marja, że Point of Pines — pan wiesz gdzie to jest, panie Poinsett — kiedyś zalane zostało wielkiemi falami morskiemi, powstałemi wskutek trzęsienia ziemi. Ale powiedz mi pan, czy w samej rzeczy wierzysz, że list tego Conroy jest prawdziwy.

— Wierzę, odrzekł Artur stanowczo.

— I że rzeczywiście nastąpi spadek akcyj tej wielkiej kopalni.

— Może być.

— A gdybyś się pan dowiedział, iż byłam tak szaloną, że ulokowałam w niej znaczne kapitały? czy powiedziałbyś tak samo?

— Powiedziałbym — odrzekł Artur, biorąc cugle w prawą rękę, ażeby lewą, Bóg wie do czego, mieć wolną, — powiedziałbym, że więcej aniżeli kiedykolwiek utwierdzam się w przekonaniu, że brak pani kogoś, ktoby był jej podporą.

Właściwie nie wiem jak pogodzić to co po tej godnej uwagi rozmowie nastąpiło z poufnem zwierzeniem, które w jednym z poprzednich rozdziałów pani Sepulvida zrobiła donnie Dolores i z tego powodu dyskretnie zrzekam się powtarzania. Niech tu wystarczy oświadczenie, że powóz jednokonny po niejakiem czasie dopędził szaraban i inne towarzystwo i stanął przed pięknym domem pana Dumphy na Rincon — Hill, gdzie przygotowana była druga suta i bogata uczta dla biorących udział w zabawie.

Pan Dumphy był, jak się zdawało, w bardzo

dobrym humorze. Tak umiał zapanować nad obawą swoją i nieufnością względem Artura, jako też nad uczuciem zazdrości, którego doznawał przed godziną, że przybliżył się do Poinsetta z pewnem wesołem zaufaniem, co zdumiewało i bawiło Artura, mającego w tej chwili więcej powodów aniżeli przedtem do puszczenia wodzów wyobraźni. Artur, który wiedział, że panna Ringround kokietowała go tylko w chwalebnym celu unieszczęśliwienia, nieczując żadnej skłonności do jego osoby, serdecznie zabawiał się tem, że młoda dama stała się nagle przedmiotem nadskakiwań pana Dumphy.

— Bo widzisz pan, panie Poinsett, ja, jako człowiek zajęty interesami, nie bywam w towarzystwach tak jak pan; ale zdaje mi się, że jestto bardzo a bardzo mądra dziewczyna, co? zapytał, gdy obok siebie stali w przedpokoju, a damy już oddaliły się.

Zaledwie potrzeba nadmieniać, że Artur stanowczo i dobitnie wychwalał młodą kobietę. Pan Dumphy, który wskutek nie wiadomo jakiego usposobienia umysłu wiele z tych pochwał wziął do siebie, był niezmiernie uradowany; być może iż tak go uspokoiło częstsze dziś zwykle zaglądanie do kieliszka.

— Powiem coś panu, panie Poinsett — ciągnął dalej — jeżeli nadarzy się coś takiego w czem mógłbym panu przysłużyć się, to śmiało zgłaszaj się do mnie. Widzę dobrze, jak rzeczy stoją między panem a wdową. Dobrze, dobrze, młody człowieku! wlazła tam ona porządnie w kopalnię Conroy; ale ja jej dopomogę — i panu także. Masz pan dobrą gratkę na widoku, panie Poinset, i pragnę by się panu poszczęściło. Rozumiemy się — co? wobec moich przyjaciół, znajdziesz mnie pan zawsze uczciwym człowiekiem. Zawsze; zawsze! Radziłbym tylko panu brać się ostro do rzeczy i ożenić się z wdową. Warta tego. Zarobisz pan na niej! zarobisz! Patrz pan, jak my tu sobie rozmawiamy... dawni przyjaciele, z owych czasów. co?... Czy przypominasz pan sobie owe dawne czasy w Sweewater, co?... No, jeżeli pan musisz już odejść, to adieu! Ona już pewno czeka. Popatrz no, Poinsy, popatrz no na tę różę w mojej pętelce! Ona mi ją dała. Ta! Rosey! co? Niech mię wszyscy djabli porwą jeżeli to nie prawda! cha! cha! Może jeszcze wypijemy po jednej?... Nie?... No, to dobrze!...

Wreszcie Artur, doznający kolejno to wstrętu to upokorzenia, to znowu ochoty do śmiechu, gwałtownie niemal pozbył się wielkiego finansisty i brudnej jego poufałosci.

Gdy pan Dumphy znowu znalazł się w swoim salonie, pojawił się tam służący z kartką.

— Ten pan mówi, że przybywa w bardzo ważnym interesie i dziś jeszcze potrzebuje widzieć się z panem, — powiedział pospiesznie, przewidując wybuch ze strony swego pana i pragnąc go uniknąć, — mówi, że w interesie pana, ale nie w jego. On tu czeka od czasu jak pan powrócił.

Pan Dumphy wziął kartkę, na której napisano było ołówkiem:

Colonel Starbottle
Siskiyou
w interesie naglącym.

Pan Dumphy zatrzymał się na chwilę. Magiczny wyraz „interes“ znowu go opamiętał.

— Wprowadź go do... do kantoru, powiedział cierpko i sam się tam udał.

Każdy człowiek, mniej praktyczny aniżeli Piotr Dumphy, poczytałby wspaniały pokój do którego wszedł za bibliotekę. Bogate mahoniowe półki zapełnione były najnowszemi książkami, zaledwie używanemi, a które zgodnie ze współczesnym gustem odznaczały się oprawą w oczy bijącą; ściany były zawieszone dziennikami i sprawozdaniami giełdowemi porozciąganemi na sznurach. W jednej szafie znajdowały się minerały złoto i srebro zawierające. Mapa przedstawiająca wyspę, której właścicielem był p. Dumphy, także tam wisiała; jak również wyobrażenie parowego statku także należącego do p. Dumphy. Po obejrzeniu wszystkich tych dowodów wielkości pana Dumphy, wzrok znajdował chwilowy wypoczynek w pięknie oprawnym ale źle wymalowanym obrazie, przedstawiającym podzwrotnikowy las na brzegu morskim, aż dopóki bliższe przypatrzenie się nie wykryło, że w kącie pod palmowem drzewem znajdowała się warzelnia cukru, również zakład pana Dumphy.

Nieznajomy, który wszedł, był słuszny i nieco skłonny do otyłości, której rozpostarcie się powstrzymywane było niebieskim ciasno w pasie spiętym surdutem. Kołnierzyki pułkownika były bardzo wysokie i efektowne; wolno około szyi okręcona czarna chustka zasłaniała znaczną część białej koszuli na piersiach, spadającą aż na białą kamizelkę ze złotemi guzikami, co w ogóle wywierało wrażenie kwiatowego kielicha, który wkrótce miał przekwitnąć. Ponad tym kielichem osadzoną była twarz pułkownika, niebieskawa, z krogulczym nosem, oczyma tak wytrzeszczonemi jakby kto pułkownika dusił i z mokremi ustami.

Pułkownik wszedł krokiem kołyszącym się, właściwym ludziom skłonnym do otyłości. Miał pod pachą laskę z haczykiem i w jednej ręce trzymał wielką białą chustkę do nosa, w drugiej kapelusz z szerokiemi połami. Pierwszą ze wszelką swobodą wsunął sobie w zanadrze, drugi postawił na biórku, przy którem siedział p. Dumphy; nie proszony wziął krzesło i w oczekiwaniu tego co ma nastąpić, wsparł się łokciami na lasce.

— Mówisz pan, że masz ważny interes? zapytał p. Dumphy. Spodziewam się, że tak jest, panie... spodziewam się. A więc proszę. Ja tu tak samo nie mam czasu do stracenia jak w banku. Mów pan, — o co chodzi?

Wcale nie zmięszany tonem pana Dumphy, którego zwykła szorstkość podniosła się do grubiaństwa, pułkownik wyciągnął chustkę, starannie obtarł sobie nos, część chustki znowu potem wsunął w zanadrze, tak że reszta wyglądała jak bukiet na piersiach i szybko zamachał tłustemi swemi i białemi rękami.

— Byłem tu już przed dwiema godzinami, panie odpowiedział, podczas gdy pan jeszcze... hm!... siedział przy uczcie. Powiedziałem młodzieńcowi: „Nie przeszkadzaj twemu... hm!... panu. Pan, składający ofiary na ołtarzu Wenery i Bachusa, obsługiwany przez muzy i nieśmiertelnych, nie lubi by mu przeszkadzano.“ Goddam, panie! znałem w Louisianie jednego człowieka... nazywał się Hank Pinckney, który zastrzelił swego chłopca, zręcznego mulata, wartującego najmniej tysiąc dolarów — i za co? za to, że przeszkodził mu podczas gry w karty, a jeszcze i dam nie było!... A biedak przyszedł tylko by powiedzieć, że szynk się pali! Być może iż powiesz pan, że jestto wypadek nadzwyczajny... Ale ja mogę opowiedzieć panu tuzin podobnych, do pioruna! Dla tego też powiedziałem: „Nie przeszkadzaj mu. Ale gdy damy wstaną i piękność nie będzie już błyszczeć i oślepiać, a dokoło stołu już nie... hm..; nie będą rozwijać się wesołe żarty, wtedy... hm! przywołaj go. I przy opuszczonym stole, przy... hm.. szklaneczce, tak, między nami, my, to jest twój pan i ja, odbędziemy naszą krótką rozmowę.

Wstał, i nim zdumiony Dumphy zdołał temu przeszkodzić, podszedł do stołu, na którym stała butelka z whiskey i karafka wody, nalał pół szklanki szlachetnego trunku, potem znowu usiadł na dawnem miejscu i wychylił ją z niewymuszonem ale przyzwoitem kiwnięciem na pana Dumphy.

Teraz dopiero p. Dumphy pożałował, że nie posiada godności w swej istocie. Najwidoczniej jasnem było, że zwykła jego szorstkość teraz na nic się nie przyda; zaraz bowiem poznał w pułkowniku reprezentanta klasy ludzi dobrze znanych w Kalifornii, przywykłych na wszelkie grubiaństwa odpowiadać wyzwaniem. Z taką klasą ludzi p. Dumphy nie miał zwyczaju zadawać się, — więc teraz siedział w bezsilnej złości; jednak był tyle rozsądnym, że uczuciom swoim nie dawał słownego wyrazu, a oprócz tego rad był że nikt z jego gości niedawnych nie był widzem jego niemiłej sytuacji.

— Nie, panie, ciągnął Starbottle dalej, postawiwszy szklankę na kolanach i oblizując sobie grube usta. Nie, panie. Ja czekałem... hm... w przedpokoju, dopóki pan nie rozstaniesz się ze swoimi gośćmi i dopóki pewnej pięknej nimfy... hm... nie pożegnasz. Goddam panie! podoba mi się gust pana, djabelnie się podoba!... sądzę, że znam się na pięknych kobietach. Do wszystkich piorunów! powiedziałem sobie, panie, o, do wszystkich piorunów. Star *) przecież nie wpadniesz na człowieka składającego hołdy piękności i właśnie zajętego wkładaniem szalu na alabastrowe ramiona!... Cha! cha! goddam, panie, spodobało mi się to! Ja anno 43 w Waszyngtonie na zabawie u Toma Bentona byłem w zupełnie takiem położeniu, panie. „Czy skończysz pan z tym szalem?“ zapytała mnie śliczna, cudna, istota, uznawana za królowę przez cały sezon zimowy... w roku 43 panie!... A ponieważ pan sam jesteś gentlemanem, to pojmiesz dlaczego wchodzę w takie szczegóły... „Gdybym mógł postąpić jak chcę, madame, odrzekłem, to nigdy nie skończyłbym!“ Tak powiedziałem, do pioruna! Ale pan nie pijesz. panie Dumphy, eh?... jeszcze naparstek, panie!... na powodzenie znajomości, panie!...

Pan Dumphy, nie czujący się całkiem bezpiecznym, potrząsnął głową cokolwiek niecierpliwie — i pan Starbottle wstał. Gdy to uczynił, zdawało się, że barki jego nagle rozszerzyły się i pierś się wydęła. Powoli i z obmyślaną godnością podszedł do pana Dumphy i powiedział z majestatycznym ruchem białej swej ręki.

— Jeżeli dotknąłem prywatnych okoliczności pana, panie Dumphy, albo jeżeli zamierzasz pan skarcić jakąkolwiek ze zrobionych przezemnie uwag co do charakteru owej młodej damy, którą miałem przyjemność widzieć w jego towarzystwie — jeżeli tak jest, panie... goddam — to jestem gotów, teraz usunąć się, panie, a jutro dać panu satysfakcję, jakiej gentleman gentlemanowi nigdy nie odmawia... A o Culpepeperze Starbottle nigdy nie było powiedzianem by satysfakcji odmówił! Kartę moją pan już masz, a pomieszkanie moje panie, jest w hotelu St. Charles, gdzie ja i mój przyjaciel będziemy gotowi, panie Dumphy!

— Ależ pozwól pan, rzekł Dumphy z widocznem zakłopotaniem, — nie mogę pić, panie-

*) Zamiast Starbottle. P. T.

waż już piłem. W tem niemasz żadnej obrazy, panie Starbottle. Ja czekałem tylko na interes, o którym zamierzałeś pan uwiadomić mnie, nim każę przynieść butelkę szampana, potrzebną dla strawności. Proszę, pułkowniku, usiądź pan. Ja... niech djabli porwą fagasa!... przynieś szampana i dwie szklanki!

Podniósł się i pod pozorem że chce przybliżyć się do stoła, szepnął cicho służącemu, który wszedł:

— Zaczekaj dopóki nie zawołam, a po dziesięciu minutach, przyjdź zawiadomić mnie, że jest ważny interes z banku, słyszysz? — Szklaneczkę wina, pułkowniku! Bardzo rad jestem znajomości pana!

Pułkownik lekko odkaszlnął, jakby chciał tem potępić swą chwilową surowość, ukłonił się z uprzejmą godnością, dotknął szklanki pana Dumphy, wyjął chustkę, obtarł sobie usta i znowu usiadł.

— Gdyby interes mój, zaczął znowu z ruchem oznaczającym pewne lekceważenie, był tylko zwyczajnym interesem, to szukałbym pana w jego urzędowej siedzibie, a nie pomiędzy Larami i Penatami i wśród świetności... tego... hm... pysznego miejsca. Nie szukałbym pana w jego świątyni, którą pan, jak utrzymuje opinja powszechna, urządziłeś jako jeden z ulubionych synów Fortuny dla oddawania jej czci. Gdym jeszcze uprawiał znajomość z utalentowanym Johnem C. Calhoun nigdy nie szukałem go na gladjatorskiej arenie senatu, panie, ale zawsze przy towarzyskiej szklaneczce w jego domowem odosobnieniu. Goddam, panie, my, w naszem powołaniu zachowujemy — do wszystkich piorunów — pewien... hm!... pewien djabelny takt w obchodzeniu się z gentlemenami, który nie pozwala nam narzucać się jak kramarskie yankesy z ich przeklętą kramarszczyzną.

— Jakież jest pana powołanie? zapytał p. Dumphy.

— Zanim wybrany zostałem przez obywateli w Siskiyou, dla reprezentowania ich w radzie prawodawczej, praktykowałem adwokaturę. Wtedy, przy sposobności, w trudnych a delikatnych wypadkach usługi moje, słusznie to mogę powiedzieć, znajdowały wszelkie uznanie. Do wszystkich piorunów! obowiązkiem mojem było, panie, zapędy wznoszącej się ambicji... hm! hm! za płot wyrzucać... i osuszać eh! eh! pełne łez, ale promieniejące oczy piękności. Gdyby mi honor nie nakazywał milczenia... o! do wszystkich piorunów, panie! mógłbym wymienić panu mnóstwo nazwisk djabelnie eleganckich kobiet i nie jednego z pierwszych... z naj... najpierwszych mężczyzn w kraju, którzy byli klientami Culpeppera Starbottle.

— Przykro mi, zaczął p. Dumphy, ale jeżeli pan spodziewasz się i mnie zapisać na listę swoich klientów, to...

Nie zwracając uwagi na drwiące po części słowa pana Dumphy, pułkownik przerwał mu z zimną obojętnością.

— Goddam, panie, to nie wchodzi w rachubę; ja przedstawiam interesa partji przeciwnej.

Drwiący wyraz znikł natychmiast z twarzy pana Dumphy, a jego miejsce zastąpił wyraz rzeczywistego zdumienia.

— Co pan mówi? zapytał krótko.

Pułkownik Starbottle przysunął krzesło do pana Dumphy, nachylił się poufale nad jego biórkiem, wziął za trzonek pióra pana Dumphy i głównym punktom mowy swej nadawał nacisk tem, iż tępym końcem trzonka tego uderzał po ramieniu pana Dumphy.

— Do wszystkich piorunów, panie! jeżeli mówię, że przedstawiam interes strony przeciwnej, to nie przeszkadza mi to, do wszystkich piorunów, postępować sobie ze wszelką godnością z obżałowanym, uznawać w nim gentlemana i robić próbę uporządkowania sprawy jak przystoi między gentlemanami.

— Ależ co to wszystko znaczy? Kto jest oskarżającym? zawołał Dumphy, zapominając się w swym gniewie.

— Goddam, panie, naturalnie że kobieta! Nie powinieneś pan przypuszczać, że oskarżam o jakąkolwiek polityczną ambicję. Cha! cha! nie panie! To kobieta, urocza kobieta! Gentlemeni, jak pan i ja, do wszystkich piorunów! nie doszli przecież do pięćdziesięciu lat, nie pomyślawszy od czasu do czasu o tych drogich istotkach. Do wszystkich piorunów, panie! ja pogardzam mężczyzną, który tego nie robił; jest to słabość wszystkich wielkich ludzi, panie.

Pan Dumphy odsunął swe krzesło z gniewnem postanowieniem człowieka, który nakoniec zmierzył siłę swego przeciwnika i uczuł to zadowolenie, iż może wystąpić przeciw niemu.

— Pozwól pan, pułkowniku Starbottle, powiedzieć sobie, rzekł, że i niewiem i nie bardzo mię obchodzi kto jest oskarżającą. Niewiem i nie obchodzi mnie to jak ona została zwiedziona, czy skrzywdzona, czy oszukana, czy na stratę narażona. Ah! pan jesteś człowiekiem światowym, jak mówisz, więc jako taki wiesz, że nikt na mojem stanowisku nigdy nie poddaje się pod władzę żadnej kobiety. Ja tego nie potrzebuję! Mam pretensję być lepszym aniżeli inni, ale głupcem nie jestem. Taka różnica między mną, a innymi klientami pana!

— Rozumie się; ale, do wszystkich piorunów! mój młodzieńcze, w tem właśnie zawiera się różnica! Czy pan nie uważasz? W innych wypadkach kobieta jest djabelnie piękna, pyszna — djabelnie urocza istota, pojmujesz pan? Goddam czasami bywa tak surowa i potężna jak prawdziwa mniszka. Ale to, zauważ pan dobrze, są przymioty, o które prawo bynajmniej nie pyta. Ale niech tam djabli wezmą całą gadaninę, na ten raz, mój młodzieńcze, to jest żona pana.

Pan Dumphy usiłował uśmiechnąć się ustami, które mu zbielały.

— Moja żona nie żyje, powiedział.

— Omyłka, panie! bardzo boleśna omyłka, goddam! Zrozumiej mię pan tylko. Faktem jest jednak, że żyje! Do wszystkich piorunów. Pan sądziłeś, że nie żyje i pozostawiłeś ją tam w śniegu! Dochodzi ona nawet do tego, że utrzymuje — pan wiesz, że kobiety wszystko paplają — gdy chodzi o wystąpienie przeciw mężowi — dochodzi ona do tego, iż utrzymuje, że nie jest to wcale winą pana, że nie umarła! eh! co?

— Panie, wiadomość z banku, bardzo pilno! zawołał służący otwierając drzwi.

— Wynoś się! — zawołał Dumphy, zakląwszy.

— Ależ panie, kazałeś pan...

— Czy wyniesiesz się! krzyknął Dumphy.

Drzwi zamknęły się za osłupiałym sługą.

— Wszystko to... to... nieporozumienie, powiedział Dumphy gdy służący znikł. Oni poumierali z głodu wszyscy, wszyscy, gdym się oddalił szukając pomocy. Czytałem sprawozdanie.

Pułkownik Starbottle wydobył powoli z grubo wydętej kieszeni surduta, bardzo podszarzany papier. Gdy go rozłożył okazało się, że był to poszarpany i brudny dokument spisany w hiszpańskim języku.

— Tu jest raport komendanta, który w swoim czasie wysłał ekspedycję. Czy pan czytasz po hiszpańsku? Dobrze. Trupy wszystkich innych kobiet zostały sprawdzone co do tożsamości, z wyjątkiem żony pana. Do wszystkich piorunów, młodzieńcze, czy nie domyślasz się pan dlaczego musiało jej brakować w raporcie? Bo nie było jej tam.

Pułkownik wyciągnął ku panu Dumphy swój wskazujący palec, potem cofnął go, podczas gdy purpurowy swój podbródek i wargi układał w harmonję ze sztywnie stojącym kołnierzykiem.

P. Dumphy przy dotknięciu palca pana Sterbottla padł na krzesło, jak gdyby go dotknął palec przeznaczenia. (C. d. n.)

Dwa głosy.

I.

Niech żyje gwar hulaszczych pieśni!
Przestańmy snuć rozpaczy nić,
Niech blada śmierć nie przyjdzie wcześniej
Aż skończym pić i drwić!

Rozkoszy hymn niech brzmi godowy!
Na ustach śmiech — w kielichu szał,
Koleją w krąg rozmarzmy głowy
A życie zbiegnie w cwał!

Precz z oczu łza, z ust skarga pusta
Jednaki kres dobrym i złym...
Śmiertelny kurcz wykrzywi usta
I nam, i wam, i im...

Kobieto! Ty uroczy marzeń kwiecie,
Upajaj nas gorącem twoich lic,
Nim z naszych uczt zostaną tylko... śmiecie
I . . , ... nic.

II.

Niech żyje gwar bratniego ludu,
Co w pracy wciąż proroków swoich słucha,
Co zamiast łzą i słowem żebrać cudu,
Do wielkich cnót i walk sposobi ducha!

Próżniacze sny! wy szczęścia chwil nie dacie,
Za długo sen w życiową pchał nas matnię,
Do pracy w krąg zasiądźmy przy warsztacie!
Do pracy w krąg zwołujmy siły bratnie!

Kobieto! Ty nam w trudach bądź pomocą,
Do wspólnych trosk wnieś miłość i osłodę,
Rodzinnych cnót strzeż ducha twego mocą,
I w stali hart ubieraj serca młode!

Jutrzenki blask do czynów niech nas budzi,
Niech uczy nas pochodnię światła nieść —
A przyszłość nam zapewni pamięć ludzi
I . . . . cześć!

?

Przygody w Indjach

podróżnika

Tomasza Anquetil.

Druga serja.

(*Ciąg dalszy.*)

Ponieważ Salangany żywią się rybami, muszlami i zgniliznami morskiemi, ślina ich przez przetrawienie nabiera własności lepkowatej. Kiedy zamierzają osiąść na swojem gnieździe, pracę rozpoczynaja od zbierania z wielkiem staraniem dro-

bnych ułamków z roślin morskich, które przylepione do ścian skały, stanowią szkielet budowy, i na tem dopiero upleceniu składają ślinę, która stężała skupia się i tworzy zewnętrzną skorupę gniazda.

Czyste gniazda najbardziej są poszukiwane. Inne bywają płukane w słodkiej wodzie dla odjęcia z nich nieczystości i nadania białości włóknom; później suszą je na wolnem powietrzu, nie zaś na słońcu by nie popękały, i dopiero wtedy zdatne są do transportu. W tym stanie zakonserwowania mają one wiele podobieństwa do makaronu włoskiego, znanego pod nazwą Tagliarini; ugotowane wyglądają niby karuk a więcej jeszcze zbliżone do żelatyny. Shabunder w chęci uraczenia nas kazał rozpuścić ten przysmak w buljonie, ale mimo najszczerszych chęci ani moja żona, ani ja, ani asesor, nie byliśmy zdolni dojeść tej przechwalonej zupy.

Gdy już wszystkie kosze, paczki i worki zapełniono zbiorami naszej wyprawy, wyładowano niemi oba puste galary, a my ruszyliśmy w naszych łodziach do wsi Jaletto, gdzie nas oczekiwano, i gdzie asesor miał do załatwienia czynności swego urzędowania.

U samego ujścia, w miejscu w którem rzeka Jaletto wpadając w morze spotyka się z rzeką Irrawady i wespół z nią tworzy mały przylądek, ujrzałem z daleka uciekającą parę drapieżców. Zawsze ciekawy badań, kazałem łodzi zbliżyć się do brzegu, i wyraźne ślady krokodyla uderzyły mię, a trochę dalej na powierzchni pieniących się bałwanów, powodowanych zetknięciem dwóch wód, ujrzałem pływające płatki szarej piany niby skupione odpadki kwiatów. Ten zbieg okoliczności zastanowił mię, zleciłem moim służącym złowić wzmiankowane ptaki, i po wylądowaniu kazałem obrać je z nieczystości, ugotować w wodzie a następnie dać osiągniętemu płynowi zgęstnieć powolnem stygnięciem.

Serdeczne powitanie czekało nas u wstępu do wsi. Naczelnik gminy z otwartą gościnnością roztworzył nam progi swego domu. Po wypowiedzeniu pierwszych wstępnych komplimentów, Shabunder z asesorem udali się na przegląd rybołostwa, ja zaś kazałem zaprowadzić się do oficyn, gdzie przyrządzano nam posiłek. W obszernym dziedzińcu, otoczonym stodołami zbudowanemi częścią z drzewa częścią z cegły, stała w samym rogu dość duża kuchnia. Z zadowoleniem ujrzałem rozkazy moje skrupulatnie wykonane, i substancję odgotowaną suszącą się na sicie. Przyjrzałem się jej z uwagą, powąchałem, postawiłem na przewiewie u wnijścia do jednej ze stodół i zabierałem się do odejścia. Zaledwie zrobiłem parę kroków w kierunku domu, w tem z pobliskiej szopy wypadają w podskokach dwa ptaki niebiesko-czarne i skierowały się wprost do sita, zamierzając wydziobać mi moją zdobycz. Usunąłem im przedmiot ich pożądliwości i postawiwszy go w bezpiecznem miejscu, zacząłem się przyglądać szczególnym okazom świata skrzydlatego. Były one tak duże może jak gęsi, tylko smuklejsze, ogon miały pełny pierzasty, nogi okryte łuską i zakończone w cztery palce zrośnięte błoną; chód ich nieregularny był podskakujący a lot nader ciężki. Przez dziwny kaprys natury, oczy otoczone były rzęsami, co im nadawało oryginalne spojrzenie. Dziób na końcu spiczasty, bardzo długi i gruby nosił narośl zakrzywioną w róg niby hełm, co mi nasunęło na myśl gatunek zwany *calao* przez naturalistów. Domownicy zapytani objaśnili mię, iż te dwa ptaki złapane bardzo małe w pobliskim lesie, wychowały się koło domu, ale się jeszcze nierozmnożyły. Pożywieniem ich są odpadki mięsne, przyczem trudnią się wyniszczaniem szczurów, ropuch, jaszczurek i różnych owadów.

Moi towarzysze powracali z przeglądu rybołostwa, złączyłem się z nimi i zasiedliśmy do stołu. Potrawy znikały szybko; przy końcu śniadania Józef wręczył mi stężały placek, który po wyszuszeniu osiągnąłem z mojej odgotowanej substancji. Złamałem go przez pół i podałem oba kawałki do oglądania moim współbiesiadnikom.

— Hamuch! Booghuy, co za przedziwny zapach piżma.

— To jest bursztyn — odrzekłem.

— Jakto bursztyn? ja mam u siebie bardzo piękne okazy bursztynu, znajdujemy go wśród piasku nad brzegiem wód słonych i u wybrzeży morskich, ale pod postacią smolnych gruczołków podobnych do kamyków. Jest to substacja nieprzejrzysta, złoto żółtawa; wyrabiają z niej naszyjniki dla kobiet. Antypki moich nargilji są także z pięknego bursztynu, pan je zapewne uważałeś?

— Tak jest Maha, tylko tamto jest bursztyn żółty, a to szary, który grozi zaginięciem, z powodu fałszowań jakich się na nim dopuszczają. Jako lekarstwo jest to wyborny środek przeciwko konwulsjom i newralgji. Z powodu iż dla zapachu nadaje się do różnych kombinacyj, użytkowany bywa także w parfumerji. Proszę cię Maha, zatrzymaj ten kawałek ofiarujesz go swej małżonce, ten drugi niech służy żonie naszego gospodarza.

Podziękowano mi przyrzekając w przyszłości użytkować tak cenny produkt, jak Asesor zwyczajnie, pilnie się przysłuchiwał nietracąc jednego słowa i robił notatki. Rzecz zaiste warta była przedłożenia skarbowi... Shabunder obwijając swój kawał bursztynu odezwał się do mnie z następującym wywodem:

— Zapach a szczególnie tłustość i lepkowatość tej twardej substancji, przypomina mi gęsty płyn, który wyciągają z różnych roślin i paproci. Są dwa do tego sposoby: jeśli mu się da ściekać do naczynia zamkniętego, pozostaje szarawy i ciekły, ale czernieje w zetknięciu z powietrzem; jeżeli zaś wylewa się go cienkim promieniem w kształt pierścieni na tace, i gdy na wpół suchy zwija się w rurki, wówczas staje się kruchy, dziurkowaty i czarny, i by go użyć trzeba rozpuszczać w esencji lub ogrzać przy cieple.

— Otóż to właśnie — rzekłem — jest substancja pokostowa i wonna, która się zwie czarnym bursztynem czyli labdanum. Wedle mnie, bursztyn popielaty pochodziłby z tych samych pierwiastków co czarny, tylko że ten ostatni jest produktem czysto roślinnym, podczas gdy do pierwszego dołączają się soki zwierzęce, żołądkowe. I tak, zibety, wiwery, magnusty, szakale, armadille i inne małe zwierzątka z rzędu drapieżnych a wydające mocny odór piżma, ogryzają korę, łodygi lub korzonki roślin, o których właśnie co mówiłeś Maha. Toż samo robią i krokodyle, gby na ląd wychodzą szukać żeru, tylko że u tych ostatnich rośliny przy działaniu wody słonej, nabierają własności przeczyszczających i wywołują skutki; ztąd substancja oddana zawiera już części zwierzęce, i w tem leży różnica bursztynu popielatego a czarnego.

Birmańczycy z natężeniem przysłuchiwali się mojej rozprawie biorąc mię prawdopodobnie za jednego z tych szarlatanów lub magików, których pełno przebiega Indje wyzyskując łatwowierność swych słuchaczy. Była już druga godzina, wstaliśmy od stołu udając się do naszych łodzi, odprowadzani przez grono towarzyszy.

Wieś Jaletto położona na przeciwnym brzegu Irrawady, daje widok na kanał Kadunkagnye-Yaygan, którego przekop dokonała potężna wola Alampra wskrzesiciela Birmanji. Kanał biorąc swe wody z Dalahu, dobiega do Irawady przy samem ujściu tej rzeki w morze. Między ujściem Dalahu a Irawady można mniej więcej rachować pięć do sześciu mil przestrzeni niskiego i piaszczystego brzegu, z którego morze przy odpływie odsłania jeszcze jakie tysiąc metrów. Ponieważ w tym punkcie przystań jest prawie niemożliwa, cały ten łan przyległy wybrzeżu pozostaje bezludny.

Kierując się w poprzek rzeki, zmierzyliśmy na koryto kanału i przerznąwszy go w skos wylądowaliśmy na odludny brzeg, a z nami kilkunastu marynarzy zaopatrzonych w kosze. Pomimo swych imponujących rozmiarów, odsłaniający się przed nami krajobraz był raczej posępny. Wśród morza ukazywały się z rzadka tylko rybackie łodzie kąpiące się w jaskrawem świetle chylącego się słońca, a jeszcze rzadziej gdzieś niegdzieś przesuwała się jakaś łódź nadbrzeżna. Na lądzie nic zgoła, żywej duszy nie było, wśród łanów żaden dom, żadna chata nie świadczyły o istnieniu człowieka. Powoli oswoiłem się z tą samotnością, a im dalej posuwaliśmy się w głąb, tem życie zwierzęce coraz więcej zaczynało nabierać ruchu. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

IV.

(Z) Pomimo niepogody i kilku współcześnie odbywających się zebrań, niedzielny wieczorek muzyczno-deklamacyjny, przez p. Józefa Rychtera urządzony dość liczną zgromadził publiczność. Program koncertu nieobfity, był jednak umiejętnie złożony i wdzięcznie wykonany. Ale muzyka musiała zejść na plan drugi wobec deklamacji samego koncertanta; bo też p. Rychter jest niepospolitym artystą! „Tyrteusz“ Anczyca, znalazł w nim godnego tłumacza, który umiał przemówić zarówno do fantazji jak i do serca. To też publiczność nagrodziła go oklaskami i bukietami, dając dowód swego współczucia i uznania. — Nie powiemy żeby drugi z kolei ustęp: „Trendzlowe“ Syrokomli szczęśliwie był dobrany. Krótkowierszowa a długa ta gawęda nuży jednostajnością swej miary, a treść jej, kończąca się bezmyślnem zabiciem dzielnego rumaka, jedynie dla dogodzenia szlacheckiej dumie — nieprzedstawia dla nas nic sympatycznego. Natomiast „Kapral Terefera i kapitan Szerpetyna“ nieporównana gawęda tegoż autora, musiała się powszechnie podobać. P. Rychter wypowiedział ją z głębokiem zrozumieniem rzeczy i z niepospolitym talentem, chociaż tu i ówdzie, prawdopobnie w skutek niedopisania pamięci, można było zauważyć niektóre drobne usterki w intonacji. Bądź co bądź jednak całość wyszła świetnie i opuszczająca salę publiczność mogła tylko żałować, że wieczorek trwał tak krótko (bo nie wiele więcej nad godzinę) i że prawdopodobnie nie prędko usłyszy znowu ulubionego artystę.

Tę ostatnią obawę mogłaby usunąć Dyrekcja naszego teatru...

* * *

(X) Wobec napaści niemców na naukową działalność naszego uniwersytetu, miło nam jest zaznaczać słowa uznania, zwłaszcza gdy one pochodzą od tychże niemców i to od ludzi fachowych, którzy nie wyrokując o tem co im jest obce, umieją przecież uszanować pracę i zasługę skądkolwiek ona pochodzi. — Donieśliśmy w swoim czasie, że profesor kanonicznego prawa przy tutejszym uniwersytecie, Dr. Rittner wydał dzieło p. t. „Oesterreichisches Eherecht, systematisch und mit Berücksichtigung anderer Gesetzgebungen dargestellt.“ Pracę tę uważaliśmy za jednę z najpoważniejszych publikacyj ostatnich czasów i cieszymy się, że zdanie to w zupełności potwierdzają specjaliści niemieccy. W ostatnim bowiem zeszycie „Zeitschrift für das Privat und öffentliche Rech der Gegenwart“ wydawanem w Wiedniu pod redakcją prof. Grünhuta, czytamy nader pochlebną recenzję prof. kanonicznego prawa w Grazu dra Karola Grossa. Krytyk powiada, że dzieło to przynosi zaszczyt prawniczej literaturze austrjackiej, i że „trudno powiedzieć za wiele na jego pochwałę.“ Podnosi dalej jasność, gruntowność i systematyczność wykładu, przeniknętego jak powiada prawdziwie prawniczym duchem, i samodzielną a głęboką krytykę na rozległej wiedzy opartą. W końcu dodaje, że dzieło to „w godny sposób wypełnia szczerby w pomnikowych pracach Ungra“ i wyraża życzenie, ażeby i inne działy austrjackiego prawa cywilnego równie biegłych znalazły pracowników.

* * *

(B) W sobotę d. 24. z. m. rozpoczęły się serje doroczne walnego Zgromadzenia Rady Ogólnej oddziałów Towarzystwa Gosp. Dziwna zaiste panuje obojętność na sprawy rolnicze w towarzystwie rolniczem. Delegaci z pośród towarzystw prowincjonalnych wybrani, mają wedle statutu raz na rok tylko zbierać się na wspólną naradę. Jest to nie wiele. Obrady odbywają się zwykle w lutym, w czasie więc gdy roboty w gospodarstwie, zezwalają rolnikowi oddalić się z domu na czas dłuższy. A jednak... delegaci lekceważąc zaufanie tych, którzy obdarzyli ich niem, nie spieszą wcale. Zwykle ratuszowa sala pustkami świeci w czasie posiedzeń Rady. W tym roku na pochwałę Towarzystwa przybyło więcej delegatów, a i członków nie delegowanych widzieliśmy kilkunastu. Ze zgromadzenia tego, które dwa razy dziennie się zbierając, przez trzy dni obradowało, jest do zapisania kilka ważnych faktów.

Przedewszystkiem podziwialiśmy naiwność przewodniczącego, z jaką w przemowie swej kokietował Rząd i jego organa, uważając przyjazd ministra roln. do Galicji, za fakt historycznego dla rolnictwa znaczenia. Bo jakkolwiek p. Abrahamowicz wielkich spodziewa się korzyści dla kraju z niewinnej tej przejażdżki austrjackiego dostojnika przez Lwów do Czerniowiec, odbytej z powodu uroczystości otwarcia tam niemieckiego uniwersytetu, to jednak wyrażając publicznie swą radość z tej przyczyny, przekonał nas, jak mało jest wymagającem towarzystwo, któremu z powodu choroby Adama ks. Sapiehy przewodniczy i jak niewielkich rząd potrzebuje wysilków by sobie wdzięczność jego zapewnić. — Co więcej przekonaliśmy się, że i tego za wiele nawet. Prof. Marschet nie minister, przyjechał dla studjów ekonomicznych do Galicji na koszt rządu. W oczach p. Wice-prezesa jest to zdarzenie do rzędu nadzwyczajnych łask należące. I my tak sądzimy, z tą maleńką tylko różnicą, że łaska ta, zdaniem naszem, spłynęła na wiedeńskiego profesora, bo przejechał się darmo i zobaczył, czego do studjów swych potrzebował, podczas kiedy p. wiceprezes uważa to za łaskę dla galicji. Prawdopodobnie zapomniał, że rząd corocznie niejednego specjalistę na swój koszt w tym samym celu wysyła.

Lecz przejdźmy raczej do czynności zgromadzenia, które uroczystością i doniosłem znaczeniem swojem, niepoślednie zajmie miejsce w pracach naszego Towarzystwa; mamy tu na myśli premjowanie wzorowych gospodarzy. W liczbie tych szczęśliwców, $^3/_5$ stanowią włościanie. Nagrodami dla właścicieli większych posiadłości były prześliczne puhary srebrne i w dodatku medale: do I nagrody złoty, wagi 60 dukatów do II srebrny. Dla włościan bardzo racjonalnie przeznaczono pieniężne nagrody: I stanowiło 200 złr., II 150 i III, a do każdej w dodatku dyplom. Nagrodzeni zostali z większych posiadłości pp: Kunaszewski z Perekosów, Lekczyński z Czerteża, bar. Romaszkan z Horodenki i bar. Brunicki z Zaleszczyk; właściciele mniejszych posiadłości: Jan Barta i Teodor Kosterka w serdecznych przemowach podziękowali w imieniu wszystkich włościan nagrodzonych, których było 6, obiecując nadal wytrwale pracować i świecić przykładem dla innych. Te ich przemowy były aktem prawdziwie rozrzewniającym i wywarły na obecnych niezatarte wrażenie. Kto wie jak trudno jest gospodarować w ogóle bez środków materjalnych, w sąsiedztwie ludzi bez wykształcenia i nie rozumiejących potrzeby lepszego gospodarstwa od tego, jakie w spuściźnie po ojcach im się dostało, ten przyzna, że w obu takich warunkach podnieść własne gospodarstwo do rzędu wzorowych, jest wielką zasługą, o wiele większą, niż tych panów, którzy mają wykształcenie, kapitały, doskonałych rządców i ekonomów.

Donioślejszego jeszcze znaczenia w czynnościach zgromadzenia były obrady nad komasacją gruntów t. j. nad zmianą wogóle i nad podziałem takich, które należą do gminy, nie mogą być dobrze zagospodarowane, gdyż każdy członek gminy rości do nich prawo użytkowania podług swojego „widzi mi się“. Są więc one ciężarem, i rzec można jedną z głównych przyczyn nędzy w kraju. Rząd przedłożył swój referat do zaopinjowania towarzystwom rolniczym w całym kraju, chcąc przeprowadzić komasację we wszystkich krajach podług jednej modły, zaś prof. Pilat przedstawił opinję komitetu Towarz. w formie znakomicie opracowanego referatu. Po wielu i bardzo wielu dyskusjach, walne zgromadzenie uchwaliło zgodnie z wnioskiem komitetu, że komasacja gruntów ornych, pastwisk i łąk, dla krajowego rolnictwa jest konieczną, a da się przeprowadzić bez rozjątrzenia i oporu ze strony włościan, jeżeli zarządzoną będzie nie *z urzędu*, lecz tam gdzie strony interesowane żądać jej będą, nadto, że do wprowadzenia postępowania komasacyjnego wymaganą będzie zgoda $^2/_3$ tych posiadaczy, którzy opłacają podatki gruntowe, że podział nie będzie się odnosić do lasów a ma być zarządzonym, skoro większość uczestników za nim się oświadczy. Wreszcie co do kwestji kredytu rolniczego walne zgromadzenie rady oddziałów uchwaliło podać petycję do rządu, aby przy zmianie statutów banku Narodowego, uwzględniono także rolnictwo na równi z przemysłem i handlem. Dotąd bank Narodowy potrzeb rolnictwa nie uwzględniał; z tego powodu kredyt dla rolnika był o wiele droższym niż dla kupca lub przemysłowca. W obec zaś tej petycji jak nie mniej takiej samej ze strony Tow. zaliczkowego dla rolnictwa i przemysłu, do ministra rolnictwa i Rady Państwa wystosowanej, spodziewać się należy wyczekiwanych od dawna a tak potrzebnych dla dobrobytu kraju zmian statutu tego banku.

* * *

(Z. R.) Wiadomo jak wielkie wywołała wrażenie wiadomość przez niektóre polityczne dzienniki podana o kolosalnej cyfrze 52 miljonów złr. w. a. nowego obciążenia hipotek galicyjskich w latach 1871—1875. Otóż p. Tadeusz Romanowicz w „Rolniku“ z d. 15. bm. opierając się na cyfrach zaczerpniętych z ostatniego zeszytu wiedeńskiego czasopisma „Statistische Monatsschrift“ 1876, stara się uspokoić publiczność w tym względzie. Jakkolwiek cyfra 52 miljonów z górą jest prawdziwą, jakkolwiek z niej na średnią cyfrę obciążenia naszych hipotek rocznie wypada aż 10,420.178 złr., którą nieobjętem jest jeszcze niemałe prawdopodobnie obciążenie ziemi znajdującej się w ręku włościan, żadnych nieposiadających ksiąg, to jednak w porównaniu z innemi krajami Przedlitawji nie jest ona tak przerażającą. W ogólnej sumie zwyżki obciążenia hipotek w Przedlitawji, udział Galicji wynosi w tych 5ciu latach 7, 4%, podczas gdy np. w Austrji dolnej lub w Czechach cyfra ta znacznie przekracza 30%. A jeżeli zechcemy rozważyć, iż Galicja pod względem ludności i przestrzeni uprawnej roli **pierwsze** zajmuje miejsce pomiędzy prowincjami tej połowy monarchji, pod względem zaś wartości produkcji rolniczej, **drugie**, a wartości nieruchomej własności, **trzecie**, to owa zwyżka obciążenia hipotek nie przedstawi się tak przerażającą, za jaką ją niektórzy powierzchownie rzecz sądząc uważają, mianowicie: „pod względem zwyżki obciążenia hipotek, Galicja **czwarte** zajmuje miejsce w Przedlitawji,“ a więc stosunek u nas pod tym względem korzystniejszy jest jeszcze niż gdzieindziej. Tak się przedstawia jedna strona medalu; gdy jednak i drugą wezmiemy pod uwagę, gdy spojrzymy na cyfry uwidoczniające nam stosunek zaiesienia ciężarów do nowego obciążenia, to jakkolwiek wzięty z całego pięciolecia przedstawia małą różnicę na niekorzyść Galicji w porównaniu z takimże stosunkiem w tymże okresie czasu w Przedlitawji, bo tylko 1,7%, nie jest on jednak pocieszającym. Ta mała różnica na naszą korzyść — to zasługa dwóch pierwszych lat (1871 i 1872); w nich cyfra dla naszej prowincji jest o wiele korzystniejszą aniżeli ogólnie wziąwszy dla całej Przedlitawji, w ostatnich jednak latach *crescendo* coraz gorsze, z wyjątkiem ostatniego roku (1875), gdzie znów zwrot ku lepszemu widoczny. Nadto ważnem jest zastanowienie się nad tem, czy właściciele hipotek u nas produkcyjnie zużytkowują kredyt, bo jeżeli zaciągniętą pożyczkę w miejsce użycia na wzmocnienie swej siły ekonomicznej, w miejsce wprowadzenia meljoracji w gospodarstwie, jak się to dzieje w Czechach i w ogóle krajach, gdzie ważność kredytu dobrze jest zrozumianą, jeżeli w miejsce tego, powtarzamy, kapitał osiągnięty z pożyczki, na spożycie się zużywa, wtedy i o połowę nawet mniejsze obciążenie naszych hipotek, klęską byłoby dla kraju... Czy tak jest, niech odpowiedzą interesowani.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego

czyli drobnego w Galicji

napisał

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

Że niepojęte nasze lekceważenie tego, co swoje, jest najgłówniejszą zaporą rozwoju przemysłu nie tylko domowego, ale wszelkiego, moglibyśmy podać całe tomy przykładów. Jeżeli to zapoznanie, pójdzie dalej tym torem, jeżeli nasze wielkie wady, jakoto: brak porównawczej oceny, lub też niepojęty upór wobec wszelkiego rozsądku, trwać będą dalej, jeżeli nie zdołamy pojąć myślą, że nie tylko handlowi i przemysłowi rodzinnemu, ale sobie samym, krajowi i przyszłości otwieramy grób jakby rozmyślnie; to uderzmy się w piersi i przyznajmy, że stan w jakim się znajdujemy, jest to płód skarłowaciały, dziwoląg natury, który z lubością niańczymy.

Nie mam tu bynajmniej na myśli, abyśmy mieli absolutnie wszystko to kupować co swoje, bez względu na jakość i cenę; nie! takiej ofiarności nikt nie wymaga, bo zamiast pożytku, zaszczepiłaby większą demoralizację, rodząc nowego gatunku uprzywilejowany rozbój kieszeniowy. Wymagamy jedynie, jeżeli przedmiot krajowy, stoi na równi z przedmiotem zagranicznym co do jakości i ceny, abyśmy krajowemu dali pierwszeństwo. A ponieważ tej konieczności nie uwzględniamy, kupując to co zagraniczne nawet za podwójną cenę, bez względu na jakość, byle etykieta przedmiot mianem zagranicy ochrzciła, dajemy sobie nieprzynoszące zaszczytu świadectwo ubóstwa rozumu. Jeżeli przedmiot zagraniczny przepłacony, pachnący nawet oszustwem zagranicznem, sprawi nam zawód, to zwykliśmy się z tem nawet nie wydawać; pokrywamy to milczeniem, lub poddajemy usprawiedliwieniu, że i wielkość zagraniczna „może się pomylić.“

Przeciwnie: biada przedmiotowi lub przemysłowcowi polskiemu! biada jeźli wyrób jego był gorszy, lub nawet równał się ceną zagranicznemu; fakt taki stawiamy pod pręgierz opinji publicznej, z zaciętością godną lepszej sprawy, dopokąd nie zgubimy przemysłowca lub nawet całej jego rodziny.

Nie! ty przemysłowcze, robotniku na własnej ziemi, pod tem niebem przez ciebie ukochanem — jeżeliś się wziął i nauczył jakiego przemysłu, a nie chcesz zostać parją, od którego twoi bliźni, bracia, krew z krwi, kość z kości, jak od zadżumionego uciekać będą, to uciekaj daleko, pomiędzy obcych! Tam znajdziesz uznanie, ocenę pracy, a przynajmniej nie będziesz łaknąć kawałka chleba.

Biada temu kto słaby i od pierwszej chwili występu na arenę przemysłową nie może zaimponować workiem; takiego wolno bez względu na płeć, wiek lub już położone zasługi, potępić, oczernić, zgubić. Niedawno temu, taki los chciano zgotować nawet Towarzystwu pracy kobiet we Lwowie. Fakt ten, winien ogółowi otworzyć oczy, nad jaką przepaścią stoimy.

Drugi rok już, gdy we Lwowie dwóch ludzi opatrzonych we wszystko na początek, co potrzebne do pracy uczciwej i mogącej się zmierzyć z wiedzą i zdolnościami zagranicznemi, mówię we wszystko, oprócz może nie zbyt wypchanych worków, ujęli za przedmiot pracy, który licząc się niby do zbytkowych, takim jednak nie jest; przeciwnie, w życiu człowieka, który tylko nie stoi na najniższej warstwie społeczeństwa, przedmioty te stały się tak potrzebnemi jak chleb powszedni. Mam na myśli, mydła lepsze do mycia, pomady, olejki, pachnidła itp.

Nic u nas trudniejszego, jak zebranie dat statystycznych, w jakimkolwiek bądź kierunku, a mianowicie produktów handlowych, to też i w tym wypadku, chcąc się oprzeć na cyfrach, po wielu szukaniach i próbach, zaledwie zdołałem zebrać w przybliżeniu liczby, z zagranicy sprowadzanych tak zwanych pachnideł i mydeł różnych, o jakiej wyżej nadmieniam, li tylko dla Lwowa i tak:

Paryż dostarcza rocznie za 25—30.000 złr. Londyn za 5—6000, Niemcy za 10—15.000 złr. Wiedeń za 25—35.000 złr.; co czyni rocznie przeciętną sumę 75.000 złr.

A jakąż zebralibyśmy cyfrę, obliczając potrzeby Krakowa i wszystkich innych miast galicyjskich?

Jeżeli więc przywiązanie nasze do dobra kraju, zgadza się chociaż w części z wygłaszaniem codziennem frazesów, to popełniamy wielki grzech, zbogacając rozmyślnie zagranicę, a ubożąc kraj.

Już dawniej, chcąc temu marnotrawstwu zapobiedz, rozpoczął p. Władysław Tepa, właściciel apteki we Lwowie, wyrób tych artykułów. Wyroby jego, oparte na warunkach ścisłej nauki, nie obawiają się współzawodnictwa zagranicznego.

Idąc dalej, dwóch farmaceutów, pp. Feliks Michalewicz i J. Ihnatowicz, otworzyli fabryki i składy. Obydwaj ci pracownicy, stanęli z odwagą i silną wolą w zawody z zagranicą, z tem przekonaniem, że jeżeli mogą odpowiedzieć wymaganiom co do ceny, jakości i zewnętrznej formy, to publiczność, współrodacy — uznają tę sumienną pracę i byt zakładów będzie na długo zapewniony.

Badając i porównując szczegółowo: mydła, pachnidła, olejki, pomady, aromatyczne octy i etery wszelkich nazw znanych w tej grupie przemysłu, mogę sumiennie orzec tak, jak wyroby te znane powagi fachowe już oceniły, że pp. Michalewicz i Ihnatowicz, nietylko obeznani są z wszelkiemi tajnikami teoryj paryskich, londyńskich i wiedeńskich, ale i w praktyce udowodnili, że zakłady ich mają rację bytu.

Zapytajmy jakie mają powodzenie? Oto p. Tepa, gdyby się głównie apteką nie posilkował, nie mógłby nam nic pocieszającego powiedzieć; a współzawodnicy jego, potrzebowali również znajomości chemji. Niestety dotychczas nasza Akademja techniczna nie przedstawia nam w tym kierunku wielkich nadziei. Mamy dzielnych profesorów, mamy świetne laboratorjum — ale zbyt małe, bo zaledwie po kilkunastu młodych ludzi zapisuje się rocznie na wydział chemiczno-technologiczny. Ale gdyby chociaż ci chcieli się nagiąć do potrzeb kraju; przeciwnie, nieomal każdy z nich po ukończeniu kursów marzy o dyrektorstwie wielkich fabryk i zakładów, nie wiedząc może o tem, że tak się gdzieindziej nie dzieje, a znane potęgi dzisiaj w świecie chemiczno-technologicznym, zaczynały często od szuwaksu.

Jeżeli zwrot w tym kierunku nie nastąpi, to nawet najświetniejsza Akademja techniczna nie wyda pożądanych owoców. (C. d. n.)

Cztery pory roku.

Czy jeszcze coś nowego o czterech porach roku napisać można? — zapytasz, łaskawy czytelniku, czytając tytuł niniejszego artykułu.

Ha! któż wie? — odpowiemy ci na to, — może można, może nie można, my w każdym razie spróbujemy.

A spróbujemy nie dlatego, żeby tylko napisać artykuł o tym przedmiocie, dlatego, że pióro pragnie ruchu, a atrament miałby sobie za ubliżenie, żeby miał bezczynnie wysychać.

Nie, — my pisząc ten artykuł zakładamy sobie cel wyższy, chcemy przyczynić się do szczęścia ludzkości, chcemy, ni mniej ni więcej, tylko uszczęśliwić tę ludzkość, uwolnić ją od wygórowanych kosztów opału i od wszelkich dolegliwości z zimą połączonych, chcemy jednem słowem względem zimy tegorocznej spełnić uczynek miłosierny, który się w katechizmie nazywa: „umarłego pogrześć,“ a zarazem obwieścić miastu i światu wielką nowinę: że wiosna tegoroczna już się rozpoczęła.

Czy nam się to uda, nie do nas sądzić należy, ale kto ma uszy niech słucha.

Astronomowie są to jak wiadomo ludzie bardzo uczeni. Powiesz im, że jakaś nowa zjawiona kometa*) była dziś tu, w parę dni potem tam, a w kilka dni jeszcze później znowu gdzieindziej, oni ci zaraz wezmą te podania, zaczną rachować, rachować, rachować i wyrachują, że ta kometa nie jest wcale nową, ale że ją już na 554 lata przed naszą erą widział w Chinach znakomity astronom God-save-the-keen, i w 672 lata później mogła była być także obserwowaną w południowej Afryce, tylko że tam w owych czasach nie było żadnego obserwatorjum.

Czołem więc przed wiedzą astronomów!

Mimo tej czołobitności jednakże, którą im jak najochotniej oddajemy, nie możemy zaprzeczyc, i oni pewno tego się nie zaprą, że nie są aniołami lecz ludźmi.

Jeżeli są ludźmi to się mylić mogą.

Jeżeli się mylić mogą, to się zapewne już nieraz omylili.

Tak przynajmniej każe wnioskować zdrowa logika, zwana pospolicie „chłopskim rozumem.“

Otóż i my, opierając się na tym „chłopskim rozumie“ ośmielamy się twierdzić, że astronomowie się pomylili.

A pomylili się mianowicie w rozgraniczeniu czterech pór roku.

Powiedzieli oni sobie, że na naszej północnej półkuli wiosna jest wtenczas, kiedy słońce jest najbliżej ziemi, a lato wtenczas kiedy słońce jest od ziemi najdalej, zaś wiosna i jesień przypadają wówczas, kiedy ziemia od słońca znajduje się w średniej odległości.

Była to obserwacja bardzo trafna i ludzkość przyklasnęła astronomom.

Nię skończyło się jednak na poklasku. Ludzkość jak ciekawe dziecko powiedziała sobie: „Jeżeli wiosna jest wtedy, lato wtedy, a jesień i zima wtedy, to naturalnie musi być chwila, w której wiosna się już kończy, a lato rozpoczyna, musi być chwila w której lato zdaje swoje berło jesieni, musi być wreszcie chwila, w kto-

*) Niektórzy przypisują komecie rodzaj męski, gdyby jednak tak było, to należałoby mówić w drugim przypadku liczby mnogiej „tych kometów.“ Nie mogąc się na to zdecydować, pozostajemy przy rodzaju żeńskim. (Przyp. aut.)

*

rej jesień schodzi z prezydjalnego krzesła a zasiada na nim zima.“

Było to rozumowanie bardzo naturalne, podyktowane przez tę samą logikę, zwaną „chłopskim rozumem,“ o której już wyżej wspominaliśmy.

Udała się tedy ludzkość do astronomów, i zapytała ich, kiedy jest właściwie początek wiosny, lata, jesieni i zimy.

Astronomowie, nie bardzo przygotowani na odpowiedź, rozpoczęli z sobą narady.

Z narad tych wypadł werdykt, tak jak to czasem zapadają werdykta przysięgłych. Ten lub ów ukradł róg w Wieliczce, ale to nie przeszkadza, żeby był niewinnym. Mógł przecież nie domyślać się wcale że ten róg ma właściciela, albo też przypuszczać że jest własnością jego rodzonego ojca.

Werdykt zatem zapadł następujący:

„Ponieważ zima jest wtenczas, kiedy słońce najbliżej ziemi, zatem zima zaczyna się wówczas kiedy słońce najbliżej stanie względem ziemi.

„Ponieważ lato jest wówczas, gdy słońce jest najdalej od ziemi, zatem początek lata przypada wtenczas, gdy słońce znajduje się w największej odległości od naszej planety.

„Ponieważ wiosna i jesień przypadają w tym czasie, gdy ziemia znajduje się w średniej odległości od słońca, zatem początek wiosny i jesieni przypada wtenczas, kiedy słońce będzie w średniej odległości od ziemi, na równiku i kiedy przypadnie porównanie dnia z nocą.“

Ludzkość z pokorą uchyliła głowy przed tym werdyktem; trybunał nie uważał za stosowne uznać, że przysięgli pomylili się w rzeczy głównej i odesłać sprawy do następnej kadencji, — ostatecznie zatem przez parę tysięcy lat wierzono i obecnie jeszcze wszyscy wierzą, jako w cztery prawdy niezbędnie do zbawienia potrzebne, że wiosna zaczyna się około 21 marca, lato około 21 czerwca, jesień około 21 września, a zima około 21 grudnia.

Jaki taki wprawdzie, porównywając kalendarz astronomiczny z naturą, znajduje pewne niezgodności i mówi sobie:

„Piękna mi jesień 20 grudnia, kiedy zazwyczaj bywa ze 20 stopni mrozu, oryginalna zima 20 marca, kiedy już roboty w polu idą w najlepsze, śliczna wiosna 20 czerwca, kiedy skwar sadło w człowieku roztapia, i śliczne lato 20 września, kiedy przed deszczem nosa wychylić nie można!“

Te nawiasowe uwagi jednakże nic nie znaczą. Astronomowie tak kazali i tak być musi, choć każdy pewno przyzna, że w tem jest trochę niezgodności z naturą.

Zdobądźmy się jednak na troszeczkę odwagi, i zastanówny się tak cichaczem, w cztery oczy z czytelnikami, czy w werdykcie pp. astronomów nie było cokolwieczek... żeby to jako delikatnie powiedzieć... ot cokolwieczek niewłaściwości.

Wyrzec, że skoro zima przypada wówczas, gdy słońce jest najbliżej ziemi, to wówczas właśnie gdy słońce jest najbliżej ziemi przypada początek zimy, jest to ni mniej ni więcej, na zdrowy rozum biorąc, tylko akuratnie to samo co powiedzieć: „Ponieważ mój kuzyn pan Walenty dzisiaj jest zdrów, w pełni sił, jé za czterech, pije za sześciu, ma żonę i kilkoro dziatwy, a zatem pan Walenty dziś się urodził.“

Nie, panowie astronomowie, tak być nie może. Jeżeli zima przypada wówczas, kiedy ziemia jest najmniej oddaloną od słońca, to już rzecz oczywista, że gdy ten warunek zachodzi, gdy ziemia stanie w tym właśnie punkcie, który jest słońca najbliższy, to wówczas znajduje się ona wcale nie w początku ale w kulminacyjnym punkcie zimy. Wtenczas mamy na naszej półkuli noc najdłuższą, a dzień najkrótszy, za tydzień zaś przed tą chwilą tak samo jak na tydzień po niej, dzień jest o kilka minut dłuższy i noc krótsza o tyleż, a pochylenie słońca do równika to samo, jakaż więc byłaby różnica pomiędzy końcem waszej jesieni a początkiem waszej zimy, gdybyśmy dzień największego zbliżenia ziemi do słońca za początek zimy astronomicznej wraz z wami uznawać chcieli?

A zatem jeszcze raz nie. Około 21 grudnia w chwili największego zbliżenia słońca i ziemi, przypada nie początek lecz środek zimy.

Toż samo rozumowanie da się powtórzyć dosłownie co do lata, jak również co do wiosny i jesieni.

Z tego wynika że około 21 grudnia, marca, czerwca i września przypadają nie początki, ale środki pór roku.

Kiedyż przypadają początki?

Naturalnie w równej odległości od środków dwóch pór roku po sobie następujących, a zatem około 6 lutego, 6 maja, 6 sierpnia i 6 listopada.

To znaczy, że około 6 lutego zaczyna się właściwa astronomiczna wiosna, około 6 maja właściwe astronomiczne lato, i około 6 sierpnia i 5 listopada właściwa astronomiczna jesień i zima.

Że tak rozgraniczone pory roku zgadzają się bardziej z naturą niż dotychczasowe póry roku astronomiczne, temu zapewne nikt przeczyć nie będzie. Nie twierdzimy jednak bynajmniej, żeby się miały zupełnie i dokładnie zgadzać z porami klimatowemi. Te ostatnie odmienne są cokolwiek, oznaczać się powinny podług pamiętnych wyników dostrzeżeń meteorologicznych dla każdej miejscowości, i w karby astronomiczne ściśle ująć się nie dadzą. Nie przeczymy, że np. dnie 6 — 12 maja są średnio biorąc chłodniejsze od 1 — 6 sierpnia, że podobnaż niezgodność mà miejsce w każdej innej porze roku, jest to jednak kwestja zupełnie odrębna. To pewna, że tak jak my tu podajemy, pory astronomiczne są dziesięćkroć razy zgodniejsze z klimatycznemi, niż te okresy które obecnie są uznawane za astronowiczne pory roku *)

Jeżeli zatem wiosna rozpoczyna się około 6 lutego, to tegoroczna już się zaczęła, a to właśnie zadaliśmy sobie do dowiedzenia. Sądzimy zatem żeśmy zupełnie wyczerpali zadanie niniejszego artykułu i możemy pożegnać łaskawego czytelnika aż do najbliższej sposobności.

Kraków, 14 lutego 1877 r.

Wł. Sabowski.

*) Dowodem tego jest pomiędzy innemi i ta okoliczność, że lud powszechnie nie dzień 21 grudnia, ale dzień św. Marcina (11 listopada) uważa za początek zimy. (Przyp. aut.)

Marja Deryng.

Od czasu wyjazdu z naszego miasta tej sympatycznej artystki, publiczność lwowska nie wiele wiedziała o dalszych jej postępach; sądzimy więc, że zrobimy czytelnikom naszym przyjemność, podając szczegóły o działalności artystycznej panny Deryng w Warszawie, ze specjalnego artykułu teatralnej gazety: „Antrakt.“ Sprawozdawca tak o niej pisze:

„Przed dwoma blisko laty, w miesiącu lipcu, gdy wielu artystów dramatu naszego, dla wypoczynku i odetchnienia świeżem powietrzem, oddaje się villegiaturze, a scena letniego teatru służy za miejsce popisu dla artystów prowincjonalny przybyła do nas na debiut ośmnastoletnia Marja yng.

Zaledwie jeden akt „Fausta“ oethego przygotowano dla artystki, przybycie jej uprzedziła już wieść pochlebna o uznaniu, jakiego młodziutka Thalii kapłanka we Lwowie doznawała.

Występ pierwszy na scenie naszej był prawdziwym tryumfem dla panny Deryng i zniewolił dyrekcję teatrów do zaangażowania na pierwszą ze scen polskich artystki, co umiała wypowiedzeniem i odegraniem krótkiego fragmentu, pochwycić za serca ogół miłośników sztuki.

Kontrakt jednakowoż zatrzymywał pannę Deryng — dopiero w roku zeszłym zobaczyliśmy ją znowu, tym razem już jako stałą artystkę naszej sceny, w roli Ludwiki Müller (Intryga i Miłość) i zmuszeni byliśmy przyznać, że talent jej spotężniał od chwili, w której mieliśmy sposobność po raz pierwszy go oceniać.

Talent ten nie odrazu wszedł na właściwe drogi. Z początku panna Deryng występowała w rolach naiwnych, grając po raz pierwszy Adrjannę w komedji Bariére'a „Pożar w klasztorze,“ dnia 30. października 1872 roku. Krytyka miejscowa przyjęła życzliwie budzącą się w niej skrę intuicji artystycznej, która obecnie, takim jasnym goreje płomieniem.

We Lwowie po wyjeździe Romany Popiel, aktorki, któraby mogła zająć jej *emploi* nie było, oddano więc inteligentnej debiutantce prawie wszystkie kreacje poprzedniczki. Jadwisią w sielance „Zbudziło się w niej serce,“ Helenką w „Radcach pana Radcy“ a nawet Brandtem, udającym Anglika w „Burszach“ była dzisiejsza Julja i Desdemona.

Rok 1873 stanowi epokę w życiu artystki.

Zaproszona przez dyrektora Miłaszewskiego pani Rakiewicz na występ wybiera tragedję Weilena „Drahomirę.“ Marji Deryng powierzają w tej sztuce rolę księcia Wacława.

Tu dopiero uczuło się utalentowane dziewczę — artystka, na właściwym gruncie. Niezadługo potem zapowiadają „Marję Tudor“ Wiktora Hugo, pannie Deryng wypadło być Joanną Talbot, rywalką nieszczęśliwej królowej, a rolę tę oddała z powodzeniem.

Odtąd zaczęto artystce powierzać kreacje serjo dramatyczne i tragiczne jak: Ofelji, Małgorzaty (Faust), Ludwiki (Intryga i Miłość), Kordelji (Król Lear), Barbary (Barbara Radziwiłłówna) i ważniejsze postacie komedji, jak Klara (Śluby panieńskie), Helena de la Seigliere, Blanka de Chelles (Sfinks), Kamilla (Ostrożnie z ogniem). W każdej z tych ról złożyła artystka dowody wielkiego talentu...

To też publiczność lwowska z żalem pożegnała pannę Deryng, odjeżdżającą do Warszawy i dotąd zapomnieć jej nie może w wielu rolach, a między innemi jako Alicji w hrabinie de Sommerive lub Joanny d'Arc w Dziewicy Orleańskiej, po odegraniu której zaszczycono ją wielokrotnem przywoływaniem.

Przed odjazdem do syreniego grodu grała młoda artystka w *mieście lwów* w dramacie Angelo Malipieri Katarzynę. Aktorką Thisbe była pani Modrzejewska.

Na jednej scenie stanęły obok siebie dwie gwiazdy polskiego dramatu i równym zajaśniały blaskiem... Idealna Julja, wybierając się na drugą półkulę, zostawiła nam godną siebie następczynię, Julję, pojętą z równem natchnieniem, a odtworzoną bardziej realnie...

Realizm, nie przekraczający warunków estetycznych, jest główną cechą talentu panny Deryng, talentu samorodnego, nie podległego żadnemu naśladownictwu, który jedynie z duszy własnej czerpie natchnienie. W realizmie tym zarówno nas zachwyca

rzewność i tkliwość uczucia, jak urok prawdy psychologicznej, występującej bez żadnych osłonek konwenansu. Widzieliśmy po dziś dzień pannę Deryng w kilkunastu różnych rolach: w trzech tragedjach: „Intryga i Miłość" (Ludwika), „Otello" (Desdemona), „Romeo i Julja" (Julja). W dramatach: „Miłość ubogiego młodzieńca" (Henryka Laroque), „Panna de Belle Isle" (Gabryela) i „Koniec Stuartów" (Karolina), w sztuce: „Dworacy niedoli" (Jadwiga). W komedjach: „Śluby panieńskie" (Aniela), „Pojedynek szlachetnych" (Lidja), „Helena de la Seiglière" (Helena), „Fałszywe blaski" (Leonora), „Akrobata" (Joanna de Solis).

Żadnej z tych postaci rozbierać nie będziemy, zbyt świeżo bowiem wszyscy je mają w pamięci, powiemy tylko, że artystka każdy charakter odtworzyła inaczej, a wszędzie objawiała talent wielki i samoistny.

Panna Deryng nie ma rysów klasycznych, ale gdy zapał, wywołany prawdziwem natchnieniem, opromieni twarz jej wyrazistą, zdolną przyjąć każdy odcień mimiczny i odzwierciedlić każde duszy i serca wzruszenie, wtedy artystka staje się piękną idealnie. Oczy jej głębokie, wielkie, przejmujące, głos srebrny, drżący, łzawy w chwili tragicznej, jasny w potocznym djalogu, wymowa pełna dystynkcji, składają się w jedną całość artystyczną i doskonałą, jeżeli pominiemy jeden szczegół, który za przymiot w jej wieku uważać można.

Grze panny Deryng brak jeszcze owego spokoju, który jest najwyższym skończonego artyzmu wyrazem. Nie ona nad rolą, ale rola nad nią panuje. Brak przeto pewnego zaokrąglenia całości, które wywołałoby wrażenie trwalsze, bardziej estetyczne, a złagodziłoby może, niektóre ostrzejsze kontury przedstawianych postaci.

Ale nikt od razu nie stał się doskonałym. Sądzimy więc, że panna Deryng nie weźmie za złe kilku słów ostatnich, które nam tylko uwielbienie dla jej zdolności podyktowało i korzystając z rad ojca (reżysera tutejszego dramatu) a szukając owego artystycznego spokoju we własnej duszy, w talentu odbłyski i miłość prawdziwego piękna bogatej, stanie wkrótce tam, zkąd wyżej wznieść się trudno, mając nawet genjuszu skrzydła. *A. M.*

LISTY DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

(Ciąg dalszy.)

Jednakże... jest i tutaj owo nieszczęsne jednakże. Twarz, przez większość uznawana za piękną, jak i ta, którą miłość piękną uczyniła, jak i ta wreszcie, którą taż miłość z pod zwykłego kryterjum piękności usunęła — może znużyć, może się nawet stać nienawistną, jeśli nie będzie między małżonkami tego nieprzerwanego przystosowywania się do siebie, tego bezustannego kształcenia się pod wzajemnym wpływem, o którem wyżej wspomniałem, a które powierzchowne wrażenia urozmaica i to zupełnie niezależnie od tego, czy mężczyzna był istotnie pięknym, czy tylko miłość pięknym mu być kazała. Powiedziałbym nawet, że w tym drugim razie gwarancje trwałości są silniejsze, bo się opierają na samem uczuciu, nie zaś uczucie na wrażeniach powierzchownych. Ale w jednym i drugim przypadku, ponieważ kobieta sama najczęściej nie czuje tej różnicy, dobrze więc rozważyć powinną, czy czasem powierzchowność narzeczonego nie znuży jej kiedyś, czy nie odżyją na nowo dawne marzenia o pięknych bohaterach salonowych, których sam widok, chwilowo, lub dłużej, upaja.

Chciabym wiedzieć, co Pani sądzisz o tych moich pokornych uwagach i w tym celu, jako niepoprawny grzesznik przesyłam Jej powyższą pogadankę, z nadzieją lepszego niż pierwej skutku.

Szczerze życzliwy * *

Ku wielkiej mojej radości przeciwniczka moja tym razem nie kazała mi długo czekać na odpowiedź. List przyszedł we dwa dni; podobnie jak pierwszy starannie zaadresowany, w ozdobnej kopercie, z uważnie wyciśniętą pieczątką, ale — właśnie ta pieczątka, której na pierwszym liście nie było, zaczęła mnie niepokoić. Przez chwilę obracałem list w palcach, bojąc się rozedrzeć kopertę, pod którą ukrywał się jeden tylko arkusik, zapewne nie więcej od pierwszego zawierający... Żeby tylko nie dwa wiersze, owe przerażająco krótkie dwa wiersze!..

I w tej chwili uczułem, że ów lekki ton, poważny spokój i mniemana objektywność, jakiemi nacechowałem moją nieproszoną korespondencję, były tylko wysiłkiem woli wobec budzącego się uczucia...

Otworzyłem kopertę — i, o radości! było w niej więcej niż dwa wiersze. List zawierał co następuje:

Szanowny Panie!

Nie przyznajesz się Pan do poprawy, a jednak jest ona widoczną — list bowiem drugi jest już napisany jak się należy, i pozwala mi zgodzić się na odbieranie dalszych, z jednym tylko warunkiem: oto musisz Pan zezwolić na pokazywanie ich mojej Mamie. Co zaś do mego zdania o pańskich uwagach, to przedewszystkiem czuję się w obowiązku nadmienić, że nie jestem najpiękniejszą kobietą we Lwowie, i że człowiek rozumny nie powinien się uciekać do komplementów, jeżeli chce zasłużyć na zaufanie. Mam nadzieję, że innych uwag zechcesz Pan osobiście wysłuchać. Szczerze życzliwa.

*

Twarda panna, pomyślałem sobie; niby to głaska, a tymczasem zimną wodą oblewa — grozi mamą, a jednak przyciąga. One wszystkie takie!

Ale wypowiedziawszy to zdanie, uczułem coś w rodzaju wyrzutów sumienia... Nie, ona nie jest taką jak wszystkie. Po pierwsze, jakże mało kobiet zdobywa się na taką treściwość; gotów byłem uznać wszelkie przymioty w kobietach, ale tego jednego nie spotkałem dotychczas; już to, między nami mówiąc, taka naturalna łatwość wysłowienia się i wypisania, jaką one posiadają, rzadko nam się dostaje w udziale; ale też biada ci nierozważny literacie, jeśli z takim wymownym okazem wdasz się w towarzyską dysputę: zasypie się wyrazami i żywcem zakopie, zanim się zdołasz zoryjentować w sytuacji. Pytasz się, w nadziei, że otrzymasz odpowiedź tylko, a tymczasem musisz wysłuchać całej prelekcji, przypominającej i Listy z podróży Kremera i powieści pani Ilnickiej. Ściskasz to wszystko razem i ostatecznie nie wiesz o co chodzi. Tem gorzej dla ciebie, jeśli jestes profesorem szkoły żeńskiej i musisz poprawiać wodnisto-poetyczne elukubracje dorastających panien, na temat piękna w naturze lub powołania kobiety. Ale biada ci po trzykroć, jeśliś został redaktorem pisma. Całe fury rymowanych i nierymowanych deklamacyj, okrutnie rzewnych, kropkami i wykrzyknikami przepełnionych powieści, artykułów tłómaczonych i oryginalnych, treści moralno-kaznodziejsko filozoficznej, o posłannictwie, o poświęceniu, o wychowaniu, o muzyce i estetyce, — zasypią twoje biurko; a wszystko to musisz przejrzyć do jutra i wydrukować w najbliższym numerze, bo pełnioletnia i bardzo wymowna panna X. ma ci dać na drugi numer coś nowego, równie będącego „na czasie" i równie obfitego w piękne zwroty, jak ubogiego w treść rzeczywistą.

Moja korespondentka widocznie innego jest pokroju. Pisze krótko, a rąbie tak aż miło. Co więcej, zauważyłem, że nie używa nad miarę wykrzykników i kropek, a natomiast wierzy w przecinki. Młoda panna, która nie lubi komplementów i wierzy w przecinki! — to także osobliwość nie lada. Takiej dotyczczas nie znałem.

Jedna tylko rzecz nie podobała mi się w liście. Ta mama przyzywana do pomocy, czy też dla bezpieczenstwa, wcale mi nie trafiała do przekonania. Cierpłem na myśl, że mogła czytać mój list pierwszy. Jak też można było takie rzeczy wypisywać pannie, do której się nie ma najmniejszego prawa! Ale stało się — skrupuły przyszły poniewczasie. Wszystko to jednak połączone z konfuzją za niewczesny komplement, o tyle zbiło mnie z tropu, że postanowiłem nie pójść mimo zaproszenia i poprzestać na przysłaniu trzeciegu listu, nie dając poznać zmięszania.

LIST III.

Szanowna Pani!

Serdecznie dziękuję za pozwolenie i nie mam nic przeciw życzeniu Pani. Prowadząc zaś dalej moje pogadanki, ośmielam się zająć jej uwagę kwestją stosunków między małżonkami, czyli wspólnego ich pożycia — chciałbym bowiem, ażebyś Pani znała moje w tym względzie zapatrywania.

Kolega mój od polityki ma zwyczaj zaczynać ważniejsze swe artykuły w ten sposób: „Są chwile w życiu pojedyńczych jednostek zarówno jak i całych społeczeństw...." Zacznę i ja podobnie, chociaż nie będę tu rozstrzygał losu narodów, ani dawał rad Bismarkowi. Chodzi mi po prostu o tę chwilę w życiu jednostki, kiedy poraz pierwszy uczuwa, że jest właściwie połową tylko, i że potrzebuje znieść mianownik przez pomnożenie licznika. Otóż ta właśnie operacja jest kwestją nielada, gdy chodzi o życie, nie o cyfry, o treść, nie o formę. Chciałbym Pani wyjaśnić, jak mnie się ona przedstawia w swej idealnej postaci.

Małżeństwo jest stowarzyszeniem różnych sił do wspólnych celów.

Mężczyzna przedstawia siłę uzdolnienia i pracy, odnoszących się przeważnie do stosunków poza domowych. Kobieta zaś, siłę uzdolnienia i pracy odnoszących się przeważnie do stosunków domowych.

Cele wspólne są samolubnej i towarzyskiej natury. Pierwsze polegają na powiększeniu sumy wrażeń przyjemnych szlachetnej treści, a tem samem na podniesieniu szczęścia osobistego; drugie na łatwiejszem i wszechstronniejszem spełnianiu obowiązków narodowych i, ogólno-ludzkich będących zadaniem jednostki żyjącej w społeczeństwie.

Nareszcie warunkami dla osiągnięcia tych celów przez siły skojarzone są:

1) zdrowie,
2) środki utrzymania,
3) harmonija duchowa.

O pierwszym z tych warunków wspomniałem już, mówiąc o narzeczonych. Jest on dziś tak mało branym w rachubę, jak niegdyś harmonja duchowa, gdy prawie wyłącznem jej poręczeniem było obowiązkowe posłuszeństwo żony względem męża. — Dziś, kiedy ściślej uznajemy zależność duszy od ciała, kiedy rozwój higieny dał nam w ręce środki zapobiegania chorobom, dziś, kiedy tyle się prawi o fizjologji, wartoby

też więcej zwracać uwagi na ten podstawowy warunek małżeńskiego szczęścia. Nie mogę tu wdawać się w niektóre szczegóły, ale dość wspomnieć, jak wiele istnieje małżeństw, w których kobieta pełna zrazu miłości dla oblubieńca dotkniętego chroniczną — choć z pozoru, niewidzialną chorobą, w lat parę z nienawiścią opuścić go musiała, albo też wlec wstrętne kajdany wspólnego pożycia, udając twarz wesołą przed ludźmi. Sądzę, że bezwarunkowo prawo powinno rozciągnąć nadzór nad zawierającemi się małżeństwami i, podobnie jak niewolno jest zabijać lub zniesławiać, tak niechże też zakazanem będzie lekkomyślne zatruwanie życia nieświadomej istoty, krzewienie kaleków i gangrenowanie społeczeństwa. Tam, gdzie dziś powoływany jest ksiądz tylko, powinien być powoływanym obowiązkowo i lekarz, bo wtedy będzie można zapobiedz przynajmniej tym faktom, w których najmniej przenikliwy lekarz, może przewidzieć tylko szereg nieszczęść i udręczeń.

Z drugiej strony należałoby oświecać młode panny i skłaniać do poważniejszego patrzenia w przyszłość. Serce ich przecież odczuwa przyszłą boleść matki nad łóżeczkiem lub trumną dziecięcia, a czy mogłyby lekkomyślnie psuć własne zdrowie nierozsądnem krępowaniem i wyniszczaniem ciała dla względów mody, gdyby wiedziały, iż z tych drobnych przyczyn, z tych drobnych wykroczeń przeciw prawom rozwoju i higieny, składają się potem: choroba matki, śmierć dziecka, lub choćby tylko kwasy domowe? Czyż mogłaby panna, idąc na bal, sprzeczać się z matką o to, czy wziąć mniej estetyczne a ciepłe, czy też lekkie i gustowne, ale niedostateczne okrycie na odsłonięte piersi, lub cienkim trzewiczkiem pokryte nogi — gdyby wiedziała, że tu chodzi o wybór pomiędzy powierzchownym i chwilowym wdziękiem, którego może nikt nie zauważy, a przyszłem jej szczęściem?

Pojmuję to doskonale, że miłość, ta wszechpotężna czarodziejka, może wszystko osłodzić, nawet wieczną chorobę, nawet nędzę; ale czyż istota rozsądna powinna narażać się samowolnie na utratę tych warunków, które w znacznej mierze o szczęściu stanowią?

Przechodzę do drugiej kwestji: majątku. Nie rozumiem tu przez niego kapitałów męża lub żony, które mogą być większe, mniejsze, lub prawie żadne, stanowiąc tylko o większej lub mniejszej stopie życia, ale raczej te środki przeciętne, niezbędne, bez których w pożyciu małżeńskiem miejsce spokoju i pogody zajęłaby troska i udręczenie. W tym względzie jestem równie przeciwnym nierozważnym zobowiązaniom, jak w kwestji zdrowia. Rozumiem, iż majątek sam przez się nie stanowi szczęścia; rozumiem, że trudno jest ręczyć za przyszłość i że największa przezorność nie może nieraz zapobiedz chwilowym kłopotom, które zresztą, jeżeli są wyjątkowe lub niezbyt doniosłe, potęgują tylko serdeczną ścisłość duchowego stosunku pomiędzy żoną a mężem; ale chodzi mi o to, ażeby łączenie się ludzi nieposiadających żadnych uzdolnień praktycznych, chlebodajnych, uważane było za równie występne, jak łączenie się osób chorowitych, z góry skazanych na mizerną, szpitalną wegietację. (C. d. n.)

Pogadanki.

XXIV.

Zaćmienie księżyca wypadło we wtorek ku powszechnemu zadowoleniu, na złość tym wszystkim, którzy utrzymują, że we Lwowie nic udać się nie może. Jestem pewny, że i następne zaćmienie, przypadające 23 Sierpnia, także w czasie pełni, uda się doskonale, a gdy tym sposobem honor naszego miasta będzie ocalony, nikt już zapewne powątpiewać nie zechce o daniu się wystawy we wrześniu, pomimo całej opozycji *Czasu* przeciw temu przedsięwzięciu. Gdyby to się godziło podsuwać przeciwnikowi inne pobudki działania, aniżeli te, które on sam przytacza, gotówbym był przypuszczać, że właściwą przyczyną niechęci pisma krakowskiego dla wystawy jest to, że odbywa się ona we Lwowie. Nie dla partykularystycznego antagonizmu miast, broń Boże — tak trywialnego sposobu myślenia nie ośmieliłbym się nigdy przypisywać dziennikowi, który posiada czarno na białem, zaświadczenie patryotyzmu od *Kroniki Codziennej.* Ale bądź co bądź, Lwów jest gniazdem niebezpiecznych, rewolucyjnych, bo antiklerykalnych prądów, i wywiera wpływ zaraźliwy w tej mierze nawet na żywioły z natury swej konserwatywne. Temi dniami, na zgromadzeniu złożonem przeważnie z lordów, baronetów i *skwajrów* wschodnio-galicyjskich, pojawił się kapłan-redaktor, znany z tej nawyczki, że nie opuszcza żadnej sposobności robienia reklamy pisemkom, które wydaje. Chciał coś mówić o kółkach włościańskich, które należałoby tworzyć, i które w istocie byłyby bardzo pożądanemi na Rusi, gdzie jak wiadomo, tak mało jest materjału i pola do *borb* różnego rodzaju, i gdzie poczciwy kmiotek, daleki od sięgania po *lisy, pasowyska, i grunta* dworskie, potrzebuje dopiero ks. Stojałowskiego, aby go oświecił o jego prawach! Otóż zacnemu temu kapłanowi nietylko nie dano głosu, ale nadto jeden z członków zgromadzenia powiedział coś o dobrym napoju, podanym z brudnego naczynia, czego ks. Stojałowski przy najlepszej chęci za kompliment uważać nie może. Widoczny jest w tem wszystkiem wpływ powietrza lwowskiego, przesiąkłego antiklerykalnym radykalizmem. Wystawa da powód do większego zjazdu we Lwowie, a tem samem, zgubny ten wpływ rozszerzyć się może w najodleglejsze strony... *Czas* mógłby żywić obawy tego rodzaju w głębi swojej papierowej duszy, przeciw wystawie przemawia on wszakże tylko ze względów ekonomicznych. Już to ekonomja jest niezawodnie najcierpliwszą ze wszystkich nauk. Na jej karb idzie i to, że koleje żelazne w Galicji otrzymują około 3 miljonów subwencji rocznie, z powodu, że przy ich budowie spotrzebowano za wiele kapitału — równie jak i to, że na urządzenie akademji technicznej we Lwowie zamiast 50.000 złr. kapnęło tylko 25.000, a na gościńce podkarpackie jeszcze mniej, bo nic....

* * *

Czy ekonomja polityczna jest nauką, skoro na jej podstawie można zarówno polecać rozrzutność, jak i skąpstwo, robienie długów i oszczędność, walutę papierową, złotą, srebrną, lub wszystkie trzy, albo dwie z nich razem? Jeden uczony dowodzi, że wystawy pomnażają przywóz, drugi, że wzmagają wywóz. Jeden widzi zbawienie w tem, by popierano przemysł domowy, drugi każe raczej zakładać fabryki. Jest pewne podobieństwo między ekonomją polityczną, a teologją. Przed zajęciem Rusi przez Kazimierza Wielkiego, na prawym brzegu Sanu palono na stosie każdego, co w czasie zapustnym pościł w sobotę, a na lewym groziło niemal to samo każdemu, co nie pościł. Jedni i drudzy sędziowie czerpali argumenta do swoich wyroków z tej samej książki, tłumaczonej z greckiego... Jeżeli więc ekonomja i teologja *są* naukami, to z pewnością niezbyt ścisłemi. Co do mnie, jestem nader skłonnym do mniemania, że nauki zostawiające tak wiele swobody swoim interpretorom, przestają być naukami, albo jeszcze niemi być nie zaczęły.

Bardzo podobne pytanie nasuwa się także co do jednej z tak zwanych „sztuk pięknych.“ Sztukami pięknemi nazywamy, jak wiadomo, te umnictwa, które wzbudzają i pielęgnują w człowieku uczucie piękna, ładu i harmonji, a tem samem czynią go łagodniejszym, szlachetniejszym i lepszym. Z definicją tą zostaje wprawdzie w niezgodzie fakt, że trudno znaleść dwóch portrecistów, dwóch pejsażystów, dwóch malarzy historycznych, a już najtrudniej dwóch pianistów, któryby się nie nienawidzili nawzajem — ale to nic nie szkodzi, taki bowiem odskok definicji od rzeczywistości wytwarza ideał, a sztuka właśnie prowadzić powinna do ideału. Otóż, *à propos* sztuk pięknych, wyczytałem w angielskim tygodniku *The Graphic* kilka ciekawych uwag krytycznych o jednym z ostatnich koncertów w pałacu Kryształowym, na którym grano Szuberta fantazję z C w przerobieniu Liszta, z orkiestrą. Recenzent wyraża się między innemi tak:

„Jakim sposobem dopuszczać się można podobnego wandalizmu, to przechodzi nasze pojęcie. Gdyby Szubert czuł był potrzebę akompaniamentu orkiestry dla swojej fantazji, napisanej dla samego fortepjanu, byłby był z pewnością napisał akompaniament lepszy od Lisztowskiego. Takie partaczenie dzieł zmarłych mistrzów staje się nieznośnem. Dla czego muzyka ma być jedyną sztuką, narażoną na takie bezkarne zamachy? Dla czego nie malarstwo? Wyobraźcie sobie państwo jakiego Liszta z pęzlem, poprawiającego niby obrazy Leonarda do Vinci, Rafaela lub Tycjana, po swojemu! Zresztą, zamiast „poprawić“ Szuberta, ksiądz Liszt otulił go tylko chmurą bombastu. Żaden artysta nie ma prawa porywać się na skończone dzieło drugiego artysty, jedni muzycy uzurpują sobie ten przywilej.“

Na tej zasadzie, ktoby brał rzeczy powierzchownie, mógłby łatwo dojść do konkluzji, że muzyka wcale nie jest sztuką piękną. Ale ów Anglik, który twierdzi, że w malarstwie nie dzieje się nic podobnego, nie był oczywiście we Lwowie. Między innemi nie-arcydziełami sztuki, któremi szczycą się tutejsze świątynie, odznacza się obraz Wniebowzięcia N. Panny, umieszczony w głównym ołtarzu katedry łacińskiej. Nie jest to kopja, bynajmniej. Artysta skompilował owszem szczegóły i figury z Murilla i z innych mistrzów, zestawił je po swojemu i upiększył swojemi dodatkami. Obecnie obraz ten, służący za zasłonę drugiemu, staroświeckiemu obrazowi Matki Boskiej, uległ zębowi czasu. Otóż niesie wieść, że kapituła ma zamiar, zamiast zamówić utwór oryginalny u którego z artystów polskich, albo przynajmniej dobrą kopję którego ze sławnych obrazów włoskich lub hiszpańskich — polecić jakiemu taniemu malarzowi reprodukcję obecnego dzieła z takim „akompaniamentem,“ jaki mu się podoba. Widzimy tedy, że w malarstwie dzieje się to

samo, co w muzyce, potrzeba tylko zjechać do Lwowa, zanim się wyda zbyt pobieżne sądy.

* * *

Czego to we Lwowie zobaczyć, czego usłyszeć nie można! Onegdaj, w kawiarni, jakiś jegomość dowodził, że dzienniki tutejsze mylnie piszą *„powinny,“* zważywszy, iż powinien, powinna, powinno, odmienia się według formy przymiotnikowej, a w takim zwrocie mowy, jak np.: „mocarstwa powinne zwrócić uwagę itd.“ ma się rozumieć, że „mocarstwa powinne, lub winne są itd.“

— Jesteś pan w błędzie — odparł na to uczony sąsiad — powinno się pisać: *„powinny,“* bo to jest słowo czasowe.

— Jakto?

— Przecież mówi się: „powinieneś pan, powinieneś pan był, powinieneś pan będziesz....

— Ależ w takim razie, *głupi* jest także słowem czasowem!

— Jakto?

— Wszakże mogę powiedzieć: „głupiś pan, głupiś pan był, głupi pan będziesz!“

— Ależ, mój panie, to impertynencja!

— Nie, to konjugacja!

— Ach, prawda!

I zwolennik formy *„powinny,“* utwierdził się jeszcze bardziej w swojem mylnem mniemaniu gramatycznem. Długo jeszcze będziemy czekali na wiadomości, *„z któremi,* mówiąc stylem i językiem pewnego sprawozdawcy, szkoły już przed *paru* laty *oznajmić* nas były *powinny.“* Oddajmy powinny ukłon takiej erudycji!

Jan Lam.

TEATR.

(„Rewolwer,“ komedja w pięciu aktach wierszem Aleksandra hr. Fredry.)

Niejeden z idących do teatru rozmyślał sobie zapewne, jaką rolę odgrywać mogło śmiercionośne narzędzie, w tym nieznanym dotąd utworze znakomitego dramaturga?

Gdyby to był dramat, możnaby było przewidywać, że będą trupy na scenie, ale ponieważ miała to być komedja, domyślano się tylko rannych. Tymczasem i na tym punkcie domysły były zawiedzione. Ani zabitych, ani nawet lekko rannych nie było, i okazało się w końcu, że: jaki rewolwer taka i komedja.

Rzecz się tak miała:

Młodzi kochali się i pobrali się, bo inaczej nie byłoby komedji; starsi także kochali się, ale w pieniądzach i ci nic nie dostali, bo inaczej nie byłoby tendencji; jeden tylko najstarszy (kapitan Monti) nie kochał się, ani w kobiecie ani w pieniądzach, i ten wprawdzie nie dostał kobiety, ale za to dostał pieniądze, bo inaczej nie byłoby cnoty nagrodzonej. Nareszcie główny bohater sztuki: Rewolwer, ofiarowany tchórzliwemu bankierowi przez dzielnego kapitana, okazał się bardzo ładnem cackiem do obcinania łebków od cygar — i nic dziwnego, bo inaczej nie byłoby — farsy. Koniec końcem dwie Numy poszły za swoich Pompiljuszów i — *finita la comedia.*

Wybaczcie nam czytelnicy to nieco rewolwerowe przedstawienie treści sztuki — ale mamy nadzieję, że ażeby się przekonać jak się mogą bawić wielkie talenta w małe choć długie sztuczki, zechcecie sami pójść do teatru na jedno z następnych przedstawień, ci zaś, którzy nie mają zamiaru iść, niewieleby skorzystali z szerszego przedstawienia treści. Całą bowiem jej wartość stanowi śliczny, jędrny wiersz, często żywa akcja i... niema a pełna komicznych epizodów rola p. Zamojskiego — a przyznacie, że tych rzeczy streszczać niepodobna. Natomiast godzi się wspomnieć o wybornej grze p. Dobrzańskiego w roli bankiera, około którego wszystko się obraca, o umiejętnem ukazaniu się pani Maj w pierwszym akcie i pani Woleńskiej w piątym, o ognistych wybuchach p. Woleńskiego, przeplatających wodnistą rolę p. Kwiecińskiego i nie wiele wyraźniejsze cienie czarnego charakteru p. Fiszera. Co do pani Nowakowskiej, to nawet nie wiemy jak nazwać jej rolę, bo przez cztery akty sądziliśmy, że kocha się tylko w pieniądzach pana bankiera, a tymczasem w końcu musieliśmy uwierzyć, że kochała go naprawdę.

Już to w ogóle cała sztuka robi takie wrażenie, jak gdyby pierwsze akty były przygotowane z celem wykończenia dobrej komedji, a ostatnie z celem prędszego skończenia farsy, która w środkowym akcie zaczyna już być rozwlekłą.

I w ten sposób powstał rewolwer o pięciu strzałach... przepraszam! o pięciu aktach, którego trzonek jest bardzo pięknie rzeźbiony, ale którego maszynerja służy tylko do zawracania głowy ludziom... chciałem powiedzieć: do obcinania łebków od cygar.

Z.

BIBLIOGRAFJA

polska.

Arja. Skarb mojej cioci. Powieść 8ka, str. 187. Lwów 1877 r. 1·80.

Bret-Hart. Obrazy Kalifornii. Nowelle amerykańskie. Przekład z angielskiego. Lwów, 1876. 1·60.

Czemeryński Ignacy Szczęsny. Powszechne prawo prywatne austrjackie dla użytku podręcznego. Wydanie drugie. Tom I. zeszyt I. 8ka. str. 64. Lwów, 1877, zeszyt I. z policzeniem za ostatni 1·50.

Historja mojej dubeltówki, podana do druku przez autora „Kłopotów starego Komendanta.“ 8ka str. 122. Lwów 1877. 60 ct.

Janota E. prof. dr. Bocian. Opowiadania, spostrzeżenia i uwagi. 8ka str. 100. Lwów 1876. 36 ct.

Kościuszko. Listy do Jenerała Mokronowskiego i innych osób pisane. Zebrał i wstępem opatrzył Lucjan Tatomir. 8ka str. 234. Lwów 1877. 2 złr. 80 ct.

Listy o Galicji do Gazety Polskiej 1875—1876. 8ka str. 268. Kraków 1877. 1·50.

Rzewuski Henryk. Rycerz Lizdejko. Powieść z czasów panowania Jana Kazimierza. 8ka str. 368. Warszawa, 1877. 2·50. Przedpłata na sześć tomów powieści historycznych 10 złr.

Sigma. List z Warszawy 8ka str. 32. Kraków 1877, 30 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Z dniem 1. maja r. b. ukaże się w handlu księgarskim Iszy tom „Dzieł Juljana Bartoszewicza,“ które to wydawnictwo prowadzone jest w Krakowie pod kierunkiem syna autora. W skład jego wejdą tak przedruki znaczniejszych prac autora, jako też dzieła pośmiertne po raz pierwszy z rękopismów wydane. Wyjdzie zatem najpierw „Historja literatury polskiej potocznym sposobem opowiedziana,“ znacznie powiększona i dopełniona; z kolei ukażą się niewydane dotąd cztero-tomowe „Początkowe dzieje Polski,“ największa praca zmarłego historyka, owoc trudów ostatnich lat życia; dalej pójdą w trzy razy większem wydaniu „Znakomici mężowie polscy,“ po nich zostająca dotąd w rękopiśmie „Anna Jagiellonka“ itd. Wydawnictwo pierwiastkowo ograniczone jest na dziesięć dużych tomów i może być nabywane w drodze prenumeraty, która na dziesięć tomów wynosi 20 rsr. - 30 złr. i składać ją można albo jednorazowo albo też ratami. Prenumerować można tylko do 1go maja b. r., poczem prenumerata będzie zamkniętą, a cena dzieł podwyższoną. Krótki termin prenumeraty postanowionym został w celu zastosowania nakładu do liczby prenumeratów. Skład główny na Galicję i W. Księstwo Poznańskie przyjęła księgarnia A. Dygasińskiego w Krakowie.

— Bibljoteka Warszawskiego Uniwersytetu, wzbogaconą została w roku szkolnym 1875/76, jak widać ze sprawozdania za tenże rok, 2.086 dziełami w 2.697 tomach, 269 pismami perjodycznemi, 28 kartami jeograficznemi i atlasami i 18 autografami różnych osób. Z tych 1.556 dzieł w 2.235 tomach i 182 pism perjodycznych weszło z kupna za sumę rs, 6842 kop. 85; reszta dzieł nadesłana z miejscowego komitetu cenzury, z ofiar rozmaitych władz i osób prywatnych. W ciągu upłynionego roku szkolnego wydano do użytku z bibljoteki 1.935 dzieł i innych wydań w liczbie 2.500 tomów, 110 osobom, z których 14 z dozwolenia władzy, nie należąc do składu Uniwersytetu, korzystały z dzieł bibljotecznych. Z czytelni studenckiej wydano do domów w ciągu roku sprawozdawczego, 405 studentom i 65 profesorom i uczącym. 3.300 dzieł, w liczbie przeszło 4.000 tomów. W sali publicznej oddzielnych gości bywało dziennie od 6 do 12 osób. Od 1go stycznia r. z. to jest od czasu otworzenia ostatecznie dla publiczności rzeczonej sali, udzielono 1.027 objaśnień i wydano do czytania 1.563 dzieł. W sali zaś czytelni studenckiej było zwiedzających dziennie od 40 do 50 osób. W ogóle w rękach studentów było bez przerwy do 1.000 dzieł, w ilości przeszło 1.200 tomów. Studencka bibljoteka posiada obecnie książek 8.365 tomów i 37 atlasów.

— Dowiadujemy się że ziomek nasz malarz p. Józef Kossowicz, został mianowany członkiem Rzymskiej Królewskiej Akademji Sztuk Pięknych. Wiadomość ta miłą będzie dla licznych przyjaciół i znajomych p. Kossowicza.

— Dnia 23go lutego odbyło się w Krakowie posiedzenie komisji konkursu dramatycznego, na którem sekcja ukończyła swoje sprawozdanie. Okazało się, że zaleconych do wspólnego czytania, jest w ogóle sztuk 6: 1) „Z Duchem czasu,“ 2) „Bratnie dusze,“ 3) „Piękne słówka,“ 4) „Pan Damazy,“ 5) „Dewotki,“ 6) „Spadkobiercy.“ Te zatem jedynie utwory ubiegać się mogą o nagrody lub odznaczenie. Inne egzemplarze mogą już autorowie odbierać.

— Karol Gounod sprzedał najnowszą swoją operę „Cinq-Mars“ wydawcy dzieł muzycznych za sto tysięcy franków. Nie, mylimy się... Słynny twórca opery „Faust“ nie lubi cyfr okrągłych, i wolał stracić franka w teraźniejszej umowie z nakładcą, byle zadość uczynić tej swojej fantazji. Jakoż, ma on otrzymać po pierwszem przedstawieniu opery 66.666 fr. a po setnem 33.333 franków.

— Cały Paryż zajmuje się w obecnej chwili dziełem nieznanego autora, zatytułowem „Kobiety i koniec świata“. Jestto studjum analityczne istoty niewieściej, przeprowadzone z umiejętnością, zdradzającą wytrawnego pisarza i niepospolitego myśliciela. Autor odsłania nam ciemne przepaście, jakie zagrażają kobiecie, obrazuje straszliwe dramaty, w których ona główną odgrywa rolę, analizuje małżeństwo, i pogląd na nie kobiet światowych, a wszystko to kreśli z nieporównaną werwą i kapitalną potęgą słowa, Śmiałością myśli, książka ta przypomina pamflety Proudhona a zajmującą jest jak romans Balzaca, lub dramat Dumasa. Autor uznaje potrzebę najzupełniejszej reformy w wychowaniu niewieściem, któremu głównie upadek kobiety przypisuje.

Statystyka.

— Hippofagija (żywienie się końskiem mięsem) wzrosła w Paryżu. Roku ubiegłego zjedzono 9271 koni, osłów i mułów, a w roku poprzednim tylko 5865,

Wielkie przedsięwzięcie.

— Przebicie przesmyku Panamy w celu połączenia drogą wodną oceanu Atlantyckiego ze Spokojnym, wkrótce stać się może faktem dokonanym. Według doniesień z Colon (Aspinwall) w Nowej Grenadzie nad morzem Karaibskiem dnia 19 listopada zawinęła przystani tamtejszej wyprawa techniczna francuska, mająca na celu ostateczne zbadanie wykonalności owego olbrzymiego dzieła. Towarzystwo biorące inicjatywę w tem przedsiębiorstwie, założone zostało w Paryżu i nosi nazwę: „Międzynarodowe Towarzystwo międzyoceanowego kanału Darien,“ Zarząd główny składa się z pięciu osób; prezydentem jest generał Türr. Na pokrycie wydatków połączonych z robotami przedwstępnemi asygnowało Towarzystwo 300 tysięcy franków. Komisja techniczna składa się z dwudziestu prawie członków, po największej części inżynierów i przybyła do Colon w towarzystwie stu blisko pomocników technicznych, ażeby w grudniu zacząć roboty. Dyrektorem technicznym jest naczelny inżynier dróg i mostów p. Celler. Dzienniki paryskie zapewniają, że i pan Lesseps, twórca kanału Sueskiego, bierze w tem przedsiębiorstwie udział, przynajmniej moralny.

ROZMAITOŚCI.

— Często się dziwimy, jak można tak drogo opłacać śpiewaka, lub śpiewaczkę jak można im dawać prezenta krociowej wartości! Za co? — za kilka minut śpiewu?... Wyrzucać takie pieniądze! Szalaństwem jest, powiadają, płacić jakiemuś tenorowi 20.000 guldenów rocznie! Niesłychaną jest rzeczą, rzeczą niepojętą, płacić śpiewaczce po 1000 guldenów za jeden wieczór! Za dawnych czasów, czyż działo się coś podobnego? — dodają ludzie, mówiąc o teraźniejszych artystach. Nie chcemy przeczyć, że podobne wołania pozbawione są prawdy pod względem stosunkowej wartości gry lub śpiewu, w porównaniu z innemi zawodami, przynoszącemi bezpośrednią korzyść dla ludzkości; zamierzamy tylko zastanowić się, czy dziadowie nasi byli oszczędniejszymi od nas gdy chodziło o sztukę? Miał rację wielce uczony rabbi Ben-Akiba, gdy wyrzekł, że nic nie ma nowego pod słońcem! Ogromne owe płace artystów, książęce, królewskie podarunki, któremi ich obsypujemy, i dawniej miały miejsce, i dawniej się praktykowały; dziadowie nasi, tak samo jak i my teraz, opłacali na wagę złota cudny głos piękności szczęśliwej, lub niezrównane pociągnięcie smyczka po czterech strunach skromnych. I tak naprzykład cud piękności, Djonizja sławna, pierwsza z kobiet rzymskich co się ośmieliła wystąpić na deskach teatralnych, pobierała dwakroćstotysięcy sestercyj, co na naszą monetę wynosi obecnie sto tysięcy złotych polskich. Późniejsza Feba Vicontia, pobierała pięćdziesiąt tysięcy na nasze pieniądze. Djonizja i Vicontia, były to Patti i Nilson naszych czasów. Porównawszy jednak wartość pieniędzy owoczesnych z naszemi, pojmiemy dopiero jak była wielką płaca tych starożytnych artystek! Nie mamy potrzeby zresztą odwoływać się na artystów starożytnych, jak drogo cenionym był talent; dość nam spojrzeć, co się działo w ostatnich trzech wiekach. Kroniki tych czasów aż nadto dowodzą nam, jak wysoko ceniony był talent śpiewaków. Przykładów nie brak; weźmy choćby słynnego Leonarda da Vinci. Nie każdemu może wiadomo, że słynny i po wsze czasy wiekopomny ten malarz, nietylko był malarzem i uczonym, lecz nadto był śpiewakiem nie lada, grał znakomicie na wiolenczeli i wynalazł pewny nowy instrument w rodzaju liry, za co otrzymał od księcia 500 dukatów, co czyni naszą monetą około 1450 dukatów, tj. około 30 000 złp. teraźniejszych, słowem, słynny malarz tyle zarabiał głosem ile swym pędzlem. Katarzyna Medicis, wielka protektorka sztuk pięknych, wyniosłszy baletmistrza Baltasariniego, który się później Beaujoqeux nazywał, do godności pokojowca swego, powierzyła mu była układanie programu dla wszystkich balów, koncertów i zabaw dworskich. Izabella Andreini, słynna swojego czasu śpiewaczka, artystka i poetka, otrzymała w prezencie od króla Franciszka I, który ją z Pawji do Paryża z sobą był przywiózł, sto pistoletów w złocie, nie licząc mnóstwa innych prezentów w bizuterjach i sprzętach; była ona panią Malibrau swojego czasu. Akademje we Florencji i Pawji nadały jej godność członka honorowego. Tenor Baltazar Ferri, rodem z Perugji, roku 1645 zaproszony do Florencji na występy gościnne, gdy przybył nareszcie do tego grodu, obywatele przyjmowali go jak księcia; wyszli na jego spotkanie aż trzy mile za bramy miasta, przydali mu straż honorową, obsypali go prezentami; po niego to królowa szwedzka Krystyna wysłała okręt osobny, by wygodnie mógł odbyć podróż do Sztokholmu, gdzie obchodzono się z nim literalnie jak z jakim monarchą. Gdy przybył do Wiednia, spotkały go prawie też same honory; cesarz Leopold ukoronował go uroczyście na króla śpiewaków. Pewnego razu po koncercie, na którym artysta przeszedł sam siebie, jakaś dama zamaskowana, po chodzie której jednak i całem ubraniu widać było, że należała do arystokratycznego towarzystwa, wręczyła Ferremu prześliczny pierścień szmaragdowy, którego by się nie powstydziła i królowa nawet; miasto jego rodzinne kazało wybić medal na jego cześć, na którym wizerunek artysty, jakby wizerunek jakiego zwycięzcy, laurem był uwieńczony. W tymże samym czasie słynęła we Włoszech Julja Lulla, której dwór florencki rocznie sto dukatów płacił; siostrze jej, także śpiewaczce, doża wenecki ofiarował prezenta wartości ośmiuset dukatów. Śpiewaczki: Costa, Sophoniste, Moretti, Campani, Adrianna i Baroni, w latach między 1600 i 1650 czarujące Włochy swym śpiewem, miały pałaców i pałace. Wszystkie sopranistki ceniły się na wagę złota; nawet papieże ubiegali się, by mieć je na swych dworach. Panna Lebarre, wróciwszy do Paryża w roku 1655 ze Sztokholmu, gdzie przez dwa lata bawiła na dworze Krystyny, przyjmowana jako jej przyjaciółka, urządziła formalną wysprzedaż gałganów rozmaitych i różnych drobiazgów toaletowych; entuzjazm dla śpiewaczki był tak wielki, że wyprzedaż udała się wyśmienicie: przyniosła jej ni mniej ni więcej jak dwakroć stotysięcy liwrów! Na dziesięć lat przedtem w grudniu Giullo Strozzi dawał operę w Paryżu w pałacu Bourbon, w której śpiewała Ludwika Gabryela Locatelli; ona i jej współzawodniczki Małgorzata Bertolazzi i Giulia Gabrieli, otrzymały za wieczór każdy po czterysta liwrów, przyczem Mazarini jako skąpiec, wprawdzie nie zdobył się na prezent, lecz za to kawalerowie nadworni prześcigali jeden drugiego, kto da piękniejszy i droższy upominek śpiewaczkom. Śpiewaczki co się odznaczyły były na przedstawieniu w roku 1647 „Orfeusza i Eurydyki" Fr. Rossi'ego, dawanym w Palais-royal, dostały każda po pięćdziesiąt liwrów za wieczór. Tenor Atto, Capoul siedmnastego wieku był ulubieńcem wszystkich dam na dworze wersalskim; płacono go bajecznie; kardynał Mazarini wyznaczył mu był apartament w swoim pałacu i używał go nawet do misji dyplomatycznych, a mianowicie wysłał go jako posła do Bawarji, gdzie kurfürst przyjmował go ze szczególniejszem odznaczeniem; słynny artysta puścił wkrótce w poniewierkę noty dyplomatyczne, ale nie nuty; wrócił do dawnego zawodu i kazał sobie jeszcze lepiej płacić jak za dyplomację; dziś jest on zapomniany, ale ręczyć możemy, że w swoich czasach nie brakło mu ani na sławie ani na dostatkach. Marja Antrier, urodzona w Lugdunie 1696 roku, mając lat piętnaście zaangażowaną została jako śpiewaczka do opery paryskiej; była śliczną, pełną powabu i godności, głos miała cudny, unoszono się też nad nią co niemiara; ją to spotkał honor, że nie komu innemu, jak jej tylko poruczone było uwieńczyć laurem skronie Villars'a i Maurycego księcia saskiego, obu sławnych wojowników; gdy wychodziła za mąż, królowa Marja Leszczyńska podarowała jej przepyszny medaljon z wizerunkiem króla małżonka swego; po opuszczeniu sceny w r. 1731 pobierała pensję dożywotnią 1500 liwrów. Śpiewaczce Wiktorji Tesi, urodzonej we Florencji 1690 roku, nad którą unosiły się całe Włochy, Hiszpanja, Niemcy i Austrja, w r. 1763 król duński oceniając cnotliwe jej życie. obdarzył ją dyplomem na kawalera „Wierności i Stałości"; umierając w roku 1775 zostawiła trzy miljony majątku. W pierwszej połowie wieku przeszłego, do rzędu śpiewaczek. które świat otaczał ogólnym szacunkiem i znaczeniem, należała także Faustyna Bordoni; wszędzie gdzie występowała, publiczność tłumnie napełniała salę; we Florencji ubóstwiano ją, noszono ją formalnie na rękach; poeci obsypywali ją swemi wierszami a bogacze złotem; wybijano nawet medale na jej pamiątkę; w roku 1724 zaangażowaną została do Wiednia z roczną płacą 15000 guldenów, później udała się do Londynu. Marja Franciszka Todi, urodzona w Portugalji w roku 1748, niegdyś pierwszorzędna gwiazda w teatrze paryskim, śpiewaczka, która nietylko Francję ale i Europę całą śpiewem swym czarowała, umierając w roku 1792 zostawiła mężowi swemu i ośmiorgu dzieci 100.000 talarów w gotówce i na 5000 talarów różnych kosztowności. Największemi wszakże sukcesy cieszyła się nieśmiertelna Angelica Catalani; w roku 1801, poprzedzona już sławą niezmierną, udała się do Lizbony, gdzie była zangażowaną za 24000 kruzadów rocznie; wzięcie jej u dworu rosło z dniem każdym, jak niemniej u publiczności; książę-rejent portugalski ze swą małżonką, obsypywali ją prezentami; gdy w roku 1806 wybrała się w podróż artystyczną, małżonka rejenta dała jej list własnoręczny polecający do swej matki królowej hiszpańskiej; w Hiszpanii przyjęto ją jak królowę; nawet etykieta dworu hiszpańskiego została dla Catalani zaniedbaną; król i królowa nieraz ją przyjmowali. W Londynie powodziło się jej również świetnie; sprawiła tam prawdziwą furorę; zimni Anglicy szaleli za nią. Wielka opera paryska ofiarowała Catalani 40000 franków rocznie, a nadto jeden benefis, lecz Catalani odrzuciła powyższe warunki, uważając je za niedostateczne dla siebie, i nareszcie król Ludwik XVIII zmuszonym się znalazł przystać na danie jej przywileju dwunastoletniego na założenie opery włoskiej w Paryżu z dodatkiem 100000 franków rocznej subwencji. Catalani śpiewała w Niemczech. Dnia 20 października 1816 hrabia Brühl wręczył jej w imieniu króla szwedzkiego Fryderyka III wielki złoty medal berlińskiej Akademji umiejętności i sztuk pięknych. Dziesiątego czerwca 1818 śpiewała przed cesarską parą w Wiedniu, za co odebrała prezent wartości 15.000 guldenów. Z Wiednia udała się do Karlsbadu, gdzie Göthe zachwycony jej śpiewem, zaimprowizował naprędce wierszyk dowcipny tej treści, że słuchając Catalani dopiero człowiek pojmuje dla czego natura dała mu uszy. Catalani śpiewała we wszystkich prawie stolicach i we wszystkich głównych miastach Europy. Majątek, który zebrała ze śpiewu, wynosił prawie dwa miljony guldenów. Ale któż policzy miljony zebrane przez Pastę, przez panny Sesi, których aż pięć sióstr było, przez dwie siostry Grisi, przez divina Tedescha Häser, przez Sontag, Schröder i Malibrau nareszcie, i tyle innych śpiewaczek i śpiewaków, dziś już zapomnianych, lecz którzy w czasach swych cieszyli się sławą i zachwycali publiczność?... Niech jak chcą będą złe czasy, a śpiew nie przestanie nigdy czarować ludzi; ludzie zawsze opłacać będą sztuce nietylko podatek podziwienia, lecz opłacają i opłacać będą suty podatek w brzęczącej monecie.

— Pan Władysław Smoleński przygotował do druku pracę p. t. „O dziejowych stanowiskach pracy polskiej."

— Znakomite dzieła matematyczno-filozoficzne Hoene-Wrońskiego w połowie tylko zostały wydane — druga połowa w rękopismach znajduje się w Bibljotece Richelieu'go w Paryżu. Uczeni francuscy korzystali z nich i wypisywali, podając przez Wrońskiego, porobione odkrycia za swoje. Obwiniają o to między innemi Leverriera. Przybrana córka i sekretarka Wrońskiego panna Conseillant, wraz z przyjacielem zmarłego Leonardem Niedźwiedzkim, od dawna czyniła staranie o wydanie dzieł ojca, i w tym celu udawała się do kilku magnatów polskich o pomoc — ale bezskutecznie. Teraz dowiadujemy się, iż panna Conseillant i p. Leonard Niedźwiecki zamierzają wydać rękopisma Hoene-Wrońskiego drogą prenumeraty. Wiele bibljotek we Włoszech i w Ameryce oświadczyło zamiar prenumerowania, to więc daje pewność, że wkrótce ważne dzieła genjalnego naszego uczonego wydrukowane zostaną.

Od Redakcji.

Drowi A. K. w Kołomyji. Możemy się porozumieć dopiero po 1ym kwietniu na podstawie nadesłanego rękopismu.

P. Bl. R. w Jaśle. Wierszyk z Longfellowa będzie zamieszczony w jednym z najbliższych numerów.

P. H. T. w Krakowie. Na poprzedni numer było już, w każdym razie dziękujemy za życzliwe słowa i prosimy o dalszą pomoc.

Miss Mary. Przesłaliśmy autorowi „Listów do przyszłej narzeczonej", który dziękuje i oświadcza, że chętnie przyjmuje wyzwanie.

Panu O. B. Przekład jest bardzo dobry, ale możemy go dać dopiero po skończeniu artykułów rozpoczętych przez poprzednią redakcję, a tymczasem polecamy się łaskawej pamięci.

Panu Wł. R. Dziękujemy za życzenia i za poparcie. Autor wiadomych listów podpisze się po ich skończeniu.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Józef A. L. Laskownicki.